BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA KRAKÓW

W NUMERZE
Jerzy Gajdziński — Prawie makabreska
MILION W TOTO-LOTKA

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 15 XII 1974 Nr 25 (563) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA 3 ZŁ

23 października 1974 r. rozstrzygnięto konkurs literacki „Trzydziestolecie" zorganizowany przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy i Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznego Młodzieży Wiejskiej w Katowicach. W jury konkursu zasiadali Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Henryk Bereza, Włodzimierz Maciąg, Krzysztof Nowicki, Tadeusz Nowak, Wilhelm Szewczyk i Edward Zyman (sekretarz). Na konkurs wpłynęło łącznie ponad 800 utworów.

W dziale poezji I nagrodę zdobył Janusz Jaśniak z Bytomia, II — Tadeusz Kwiatkowski-Cugow z Lublina, III Józef Jacek Rojek z Bartoszyc (woj. olsztyńskie).

Publikując nagrodzony zestaw wierszy lubelskiego autora redakcja nasza składa mu serdeczne gratulacje z racji osiągniętego sukcesu.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

PIEŚNI NA TRZYDZIESTOLECIE

Więc to jest srogość
obłóczona mlekiem
z waszego ludu jeden
będzie chlebem
drugi obrusem
trzeci pomarańczą
a jeszcze inny
naje się do syta
jabłek tęczowych
co spadają świtem
do garnka miodu
stawianego nocą
w wysokiej trawie
pod stopami kuźni

•

A jeszcze inny
będzie rozstrzelany
pod ścianą lasu
w czas kwitnienia wiśni
w rozpiętym płaszczu
śpiewającym psalmy
z wiklina w ustach
rozkrojoną świtem

•

A jeszcze inny
nie wytrzyma ognia
i nim mu płomień
zgasi resztę twarzy
tak go opadnie smutek
przed tą bramą
że się jak nigdy
poczuje bezdomny

•

A jeszcze inny
jak przydrożny święty
tak się w muzykę
zasłucha lipową
że nawet kosy
nie zadzwonią w mroku
wiejski niemowa
pawich piór nie weźmie
zapadnie cisza
w rozchylone słowo

•

Więc to jest srogość
wymoszczona krzykiem
pacierz i łyżka
znużone czekaniem
kogoś zabrakło
przy dębowym stole
ojciec nie wraca
wyloły rzeki
i strach w konopiach
mieszka

•

Więc to jest litość
w cembrowanych dziejach
omszałe plecy dziadka
oprawne w półskórek
sam nie wypijesz z wszystkich
pełnych wiader
choćbyś wyciekał
każdym wierszem zdrowym
w tej ciszy pełnej
utopionej w mszale
i nawet gdybyś stanął pod żurawiem
ona przed tobą skryje się
w kapuście
i nim przechylisz wiadro
do modlitwy
już się oblecze
w talerz pełen lodu

Dalsze pieśni na str. 6

Rys. E. Inglot

Nie będę cię kochać

Kadr z filmu „Nie będę cię kochać" (reż. Janusza Nastafera z Henryką Dobeszową i Tadeuszem Janczarem w rolach głównych) — jest ilustracją do reportażu Tadeusza Jasińskiego „Rodzina", który drukujemy na str. 3.

Staromiejskie dreszczowisko

Ireneusz J. Kamiński

ŚREDNIOWIECZNY układ urbanistyczny lubelskiego Starego Miasta przetrwał do naszych czasów w stanie pierwotnym. To unikalny przypadek. W jego obrębie znajduje się 108 obiektów zabytkowej architektury, całe Stare Miasto uznano za wartość kultury narodowej, za istotny dokument historii. To zobowiązuje do opieki. Przez Stare Miasto przewijają się rocznie setki wycieczek krajowych i zagranicznych, jest ono czymś w rodzaju attyki wieńczącej panoramę kulturową miasta. Wynika stąd spora satysfakcja. Stare Miasto istnieje kilkaset lat, lecz nigdy dotąd nie było przedmiotem kompleksowej renowacji, co naruszyło jego moc materialną i urodę. Wiadomo przecież, że ludzie u nas wrażliwi...

Tak zatem już dwadzieścia lat temu na Starym Mieście pojawili się murarze i artyści plastycy. Położyli nowe tynki oraz wyżłobili na elewacjach ozdobne sgrafitta, wzorowane na renesansowych rycinach, a także na ikonografii sztuki w on czas współczesnej. Rynek zajaśniał bukietem kolorów, co było zrozumiałe także i z tych względów, że malowidła autoryzowali postimpresjoniści. Zaplecza budynków pozostawiono w spokoju. Fasady uznawano powszechnie za najważniejsze, a poza tym nie było czasu i środków na kosztowne remonty. A potem kamienice żyły własnym życiem, czyli starzały się, co pewien czas

Dokończenie na str. 8—9

teatrnn.pl

SAMOTNOŚĆ WŚRÓD LUDZI

MAX Olivier-Lecampe, współpracownik francuskiego dziennika „Le Figaro", odwiedził wiele domów starców, szpitali i przytułków. Były wśród nich zarówno zakłady miejskie, pozostające w gestii opieki społecznej, jak i zakłady prywatne. Te ostatnie sprawiły na dziennikarzu najlepsze wrażenie, ale w nich przebywają ludzie, których stać na pokrycie wysokich kosztów. Natomiast, jaka jest starość tych, którzy są skazani na ubóstwo?

Oto zakład w Bicetre. We wspólnych sypialniach panuje nieznośny odór moczu, odchodów i potu. Czasem przemyka się postać młodego chłopca czy dziewczyny. Są to niedorozwinięci umysłowo, którzy zostali skierowani do tego zakładu ze względu na to, że nie kontrolują swych potrzeb fizjologicznych. Nie stanowią oni tu wyjątku, gdyż ponad połowa pensjonariuszy załatwia swe potrzeby fizjologiczne w łóżkach; utrzymanie ich w czystości jest bardzo trudne.

Śmiertelność w tym zakładzie i jemu podobnych jest bardzo wysoka. Spośród zdrowych i w pełni sprawnych starych ludzi przyjętych do domu starców 8 proc. umiera w ciągu pierwszych 8 dni od chwili przyjęcia, 28,7 proc. w ciągu pierwszego miesiąca, 45 proc. w ciągu sześciu miesięcy, 54,4 proc. w ciągu roku, zaś 65,4 proc. w ciągu pierwszych dwóch lat.

Jedna z młodych pielęgniarek z Bicetre powiedziała do dziennikarza:

— Wysoka śmiertelność w domu starców jest nie tylko spowodowana warunkami życia, lecz ogromnym szokiem w następstwie przejścia od normalnego życia do wegetacji w zakładzie. Personel medyczny opiekuje się troskliwie swymi pensjonariuszami, lecz nic nie może zrobić, bowiem nic nie jest w stanie złagodzić szoku, który powstał w następstwie „wyrwania" ze środowiska, a przede wszystkim ogniska domowego i skazaniem ich na resztę życia we wspólnej sali między starymi, niedołężnymi w większości ludźmi. W zakładzie starszy człowiek, nawet w pełni sił fizycznych, cały dzień spędza bezczynnie. Niczym się już nie interesuje. Wstaje z łóżka tylko na posiłki i zaraz po nich do niego wraca. Ci, którzy mają trochę pieniędzy, szukają zapomnienia w alkoholu...

Max Olivier-Lecampe dodaje od siebie:

— W dawnych Chinach tak szanowano starych ludzi, że oddawano im najlepszy samodzielny pokój w całym mieszkaniu, podczas gdy reszta rodziny często gnieździła się w jednym pomieszczeniu. A w dzisiejszej Francji?

Oto ponura sypialnia w domu starców. Stoi w niej 40 łóżek. 40 łóżek w sali o powierzchni 20 na 10 metrów. Na każdego pensjonariusza przypada tylko powierzchnia własnego łóżka i fotela stojącego u wezgłowia. Dla większości starców reszta życia upływa bądź to na łóżku, bądź na stojącym obok fotelu. Niektórzy pensjonariusze, głównie kobiety, usiłują jakoś zapełnić resztkę życia zaścielając swoje łóżka różnymi serwetkami, robiąc na szydełku czy na drutach. Niektórzy czytają stare numery najbardziej wulgarnych brukowych pism. Jednak większość zupełnie nic nie robi, patrzy gdzieś w przestrzeń z beznadziejnym wyrazem na twarzy: usta otwarte, szklany wzrok, nieruchomi, bezczynni między posiłkami. Niektórzy odzywają się do swych gości, głównie tylko po to, aby poskarżyć się na swój los...

Nasze zurbanizowane społeczeństwo jest bezwzględne, okrutne wobec tzw. trzeciego wieku, czyli starców. Przed tymi ludźmi często staje problem: gdzie podziać się po śmierci współmałżonka? Pójść na utrzymanie dzieci? To zależy od tego, czy one się na to zgodzą, czy mają jakiś kąt dla starych rodziców, a przede wszystkim — czy mają dla nich trochę miejsca w swoich sercach.

Staruszkowie często rezygnują ze wspólnego zamieszkania ze swymi dziećmi, albo raczej... są do tego zmuszani. „Mamo, tam będzie ci dobrze, nie będziesz musiała zajmować się domem. Będziemy cię odwiedzać, a każdą niedzielę będziesz spędzała u nas".

Tak mówią dzieci do swych starych rodziców, aby za wszelką cenę zmusić ich do pójścia do domu starców.

Dziennikarz „Le Figaro" dowiedział się od dyrektora domu starców w Vitry, że spośród przebywających tu 1777 pensjonariuszy 17 proc. jest stale (to znaczy trzy razy w miesiącu) odwiedzanych przez swe dzieci, 13 proc. ma regularne wizyty (raz w miesiącu), zaś 70 proc. nikt nigdy nie odwiedza.

— Trzeba zobaczyć — mówi dyrektor — rozpacz tych opuszczonych nieszczęśników, którzy nie mając żadnej nadziei na odwiedziny przez kogokolwiek ze swych bliskich, czy po prostu znajomych, oczekują bezmyślnie i beznadziejnie w swych łóżkach na śmierć...

Ale są historie szczególnie bolesne. Pewien emeryt w przytułku Ivry opowiedział dziennikarzowi o swej tragedii. Otóż w czasie pracowitego życia zdołał on kupić niewielki domek na przedmieściu Paryża. Tam urodziły mu się dzieci i tam zmarła jego żona. Pragnąc zaoszczędzić swemu synowi kosztów postępowania spadkowego, przepisał dom na niego. I był to największy błąd jego życia. Syn ów mieszkał u ojca wraz z żoną, czekając na otrzymanie mieszkania. Pewnego dnia — pod pozorem przeprowadzenia badań lekarskich — zawiózł on zdrowego ojca do nędznego przytułku zamiast do szpitala. Syn okłamał lekarzy, twierdząc, że stary jest niedołężny i chory. Ojciec znalazł się na ponurej sali, na łóżku sąsiadującym z barłogiem niedorozwiniętego umysłowo i cuchnącego, zniedołężniałego starca. Po trzech tygodniach dostrzeżono omyłkę i zwolniono go z przytułku. Jednakże po powrocie do domu stary ojciec stwierdził, iż domek został już ... sprzedany przez „zapobiegliwego" syna, który za uzyskane w ten sposób pieniądze udał się na urlop do Grecji. Staremu, pozbawionemu środków do życia człowiekowi nie pozostało nic innego, jak powrócić do przytułku...

w którym żyjemy

PANI MINISTER

PREZYDENT Ugandy, Idi Amine Dada, poprzedni bokserski mistrz tego kraju w wadze ciężkiej, znany jest z surowości obyczajów: zakazał noszenia mini-spódniczek, długich włosów, grania najnowszych przebojów muzyki młodzieżowej, polecił zamknąć wszystkie kabarety itd. Nie przeszkadza mu to jednak otaczać się prywatnie kręgiem kobiet, których jedynym zadaniem jest rozweselanie go po pracy.

W lutym br. ministrem spraw zagranicznych mianował piękną aktorkę, księżniczkę Elizabeth Bagaya de Toro. Młoda i urocza pani minister budziła duże zainteresowanie na wszelkiego rodzaju konferencjach międzynarodowych.

Przed kilkunastu dniami księżniczka wsiadła na francuskim lotnisku Orly do samolotu, aby wrócić do kraju po instrukcje na kolejną konferencję. Gdy samolot znajdował się już nad Afryką, prezydent Idi Amine opublikował komunikat, zawiadamiając świat, że pani minister „w toaletach lotniska Orly miała krótkie i intymne spotkanie z pewnym Europejczykiem", wskutek czego zostaje pozbawiona funkcji ministra. Według komunikatu kilka dni wcześniej pani minister podczas konferencji w Londynie opuściła sale obrad i cały wieczór oraz noc spędziła w dzielnicy uciech — Soho. Zdaniem prezydenta wszystko to świadczy o kontaktach z agentami wywiadów brytyjskiego i amerykańskiego.

Prasa zachodnia przypomina, że poprzedni minister spraw zagranicznych Ugandy, podpułkownik Ondonga, został pozbawiony funkcji także w czasie powrotu do kraju samolotem, a kilkanaście dni później jego ciało wyłowiono z Nilu.

SKARBY CESARZA

EUROPSKI komitet wojskowy zwrócił się oficjalnie, choć w tajemnicy, do rządu federalnego Szwajcarii o wydanie pieniędzy, zdeponowanych w bankach szwajcarskich przez byłego cesarza Hajle Selassie, który miał dobrowolnie wyrazić na to zgodę w odpowiednim piśmie. Rząd wyjaśnił jednak, że sprawa ta należy wyłącznie do gestii odpowiednich banków. Jeżeli banki będą miały wątpliwości co do dobrowolności decyzji cesarza, sprawę może rozstrzygnąć tylko sąd szwajcarski.

Ile wynosi majątek cesarza — nie wiadomo. Jedni sądzą, że „tylko" sto milionów dolarów, inni twierdzą, że do 5 miliardów. Przypomina się, że przed kilku laty dwa banki odmówiły przyjmowania dalszych transportów złota przesyłanych przez cesarza, gdyż ich magazyny zostały już całkowicie zapełnione.

Korespondenci donoszą, że od pewnego czasu cesarz korzysta ze względnej swobody. Mieszka już nie w koszarach, ale w jednym ze swych dawnych pałaców. Poza tym starym „mercedesem" udaje się codziennie do świątyni Ba Ata. Przed samochodem jedzie policjant na motocyklu, a za samochodem jeep z kilku uzbrojonymi żołnierzami. Ma to sugerować cudzoziemcom, że cesarz nie jest już więźniem i że jego zrzeczenie się majątku w bankach szwajcarskich było rzeczywiście dobrowolne.

PRECEDENS

PROWADZĄC własny samochód, 42-letnia mieszkanka Londynu pani Ladd weszła w kolizję z innym, nieprawidłowo jadącym samochodem. Odwieziono ją do szpitala ze złamaną nogą i innymi obrażeniami. Towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło jej 1 500 funtów szterlingów za uszkodzenie wozu oraz inne straty. Wydawało się, że sprawa jest załatwiona.

Ale wtedy na scenie zjawił się mąż, pan Kenneth Ladd. Wystąpił on do sądu o dodatkowe odszkodowanie od sprawcy wypadku dowodząc, że podczas trzytygodniowego pobytu żony w szpitalu oraz przez jakiś czas potem nie mógł prowadzić normalnego życia seksualnego. Żyliśmy bardzo aktywnie, utrzymując stosunki 2—3 razy w tygodniu — wyjaśnił sędziemu. Pani Ladd wszystko potwierdziła. Sędzia, ojciec dwojga dzieci, przyznał panu Ladd 150 funtów odszkodowania, dodając: to było rzeczywiście małżeństwo bardzo aktywne seksualnie przed wypadkiem i skarżący się rzeczywiście poniósł dotkliwą stratę.

RYZYKANCI

PODOBNO sto miliardów ton ropy naftowej leży pod dnami mórz i oceanów. Nic więc dziwnego, że penetracja i eksploatacja tych złóż zwiększa się coraz bardziej. Niektóre towarzystwa naftowe przeznaczają 70 proc. nakładów inwestycyjnych właśnie na tę dziedzinę. W Europie głównym terenem rozpadajnym staje się Morze Północne.

Zarówno na powierzchni jak i na dnie Morza Północnego powstają wielkie zakłady wydobywcze. Warunki pracy dla ludzi są niezwykle ciężkie. Wysokość fal dochodzi niejednokrotnie do 30 m, szybkość wiatru do 150 km/godz. wszystko odbywa się kilkaset km od brzegów.

Najtrudniejszą pracę mają ludzie, zatrudnieni na dnie. Nie są to już tylko nurkowie, ale mechanicy, elektrycy i inni specjaliści, którzy pracują na głębokości 100—150 m. Na tej głębokości można jednak pracować najwyżej godzinę. Wskutek konieczności stosowania delikatnej dekompresji ciśnienia, tradycyjny nurek wypłynąć na powierzchnię dopiero po kilkunastu godzinach. To było zbyt kosztowne, a także niebezpieczne w razie jakiegoś wypadku. Zastosowano więc stalowe cylindry, w których ludzie wypływają na powierzchnię w ciągu kilku minut, dekompresja następuje już na powierzchni w specjalnej kabinie.

Na dnie Morza Północnego pracuje obecnie prawie tysiąc ludzi. Oprócz rurociągów dla ropy zainstalowano tam cały system łączności telefonicznej i radiowej oraz bezpieczeństwa pracy. Mimo to w ciągu ostatniego roku było 10 wypadków śmiertelnych — okazało się, że mimo dokładnych badań lekarskich nie wszystkie organizmy wytrzymują te ciężkie warunki. Zarobki tych ludzi są wysokie — dochodzą do 5 tys. dolarów miesięcznie. Pobyt na morzu trwa przeciętnie trzy miesiące — bez alkoholu, bez kobiet, bez rozrywek z wyjątkiem radia, bo nawet oglądanie telewizji jest zabronione. Okazało się ponadto, że po powrocie na ląd stały ludzie ci rzucają się w wir wszelkich uciech, nadużywają alkoholu, co powoduje, że znaczna część małżeństw rozpada się. Mimo to kandydatów, kawalerów i żonatych, nie brakuje.

MARSYLIANKA

WSZYSTKO zaczęło się w maju — powiadają z niejaką melancholią Francuzi. Wtedy to bowiem prezydent Giscard d'Estaing polecił podpułkownikowi Boutry, szefowi orkiestry gwardii republikańskiej, nowe zainstrumentowanie hymnu narodowego „Marsylianka". Prezydentowi chodziło o to, aby muzyka brzmiała nie jak zawadiacki marsz, ale bardziej dostojnie, jako hymn uroczysty i liryczny, wprawdzie po dawnemu z trąbkami, ale bez bębnów.

Ppłk. Roger Boutry zajrzał przede wszystkim do rękopisu kompozytora, Rouget de Lisle'a, i stwierdził, że dużą ilość instrumentów perkusyjnych wprowadził do hymnu dopiero później Berlioz. Boutry więc powyrzucał bębny, zwolnił tempo, a słynny motyw „sol — sol — sol — do" zastąpił motywem „sol — mi — sol — do".

„Marsylianka" w nowej wersji zagrano po raz pierwszy 14 lipca w Paryżu podczas parady w dniu święta narodowego. Publiczność sądziła, że to jakaś fantazja dyrygenta. Kiedy jednak w listopadzie zagrano hymn jeszcze wolniej, wprowadzając kilka dalszych drobnych zmian, rozpoczęły się gwałtowne dyskusje w prasie i telewizji. Mimo że większość głosów wypowiadała się za starą wersją, prezydent uznał to za przejaw konserwatyzmu i polecił, aby podczas wszelkich uroczystości państwowych grano hymn w nowej instrumentacji. Co więcej — przed każdym refrenem następuje minuta ciszy, co ma być wyrazem hołdu dla zmarłych za ojczyznę Francuzów.

Przy okazji warto przypomnieć, że „Marsylianka" ma bardzo niewiele wspólnego z Marsylią. Powstała ona w 1792 r. jako pieśń wojenna dla Armii Renu, a do Paryża została przeniesiona przez batalion ochotników z Marsylii. Od 1879 r. jest hymnem Republiki Francuskiej.

Węgry: mniej na reprezentację

W POŁOWIE ub. roku wprowadzono na Węgrzech nowe przepisy mające na celu zmniejszenie nadmiernych wydatków na reprezentację. Szczególna „gorączka reprezentacji" uwidoczniła się w r. 1968. Zaradcze poczynania władz poszły w zasadzie w dwóch kierunkach. Przede wszystkim określono łączny fundusz reprezentacyjny w ten sposób, iż winien być on utrzymany co najwyżej na poziomie roku ubiegłego, a nawet być niższy. Jednocześnie ograniczono wydatkowanie pieniędzy, np. w spotkaniach z obywatelami węgierskimi, na konferencjach, naradach, sympozjach itp. nie może być podawany alkohol. Nie wolno także wręczać upominków czy prezentów, których wartość przekracza 100 forintów, przy czym muszą to być jedynie tzw. upominki reklamowe. Jeśli chodzi natomiast o cudzoziemców, to np. w ramach dwutygodniowego programu fachowego można organizować tylko jedną wycieczkę i dwa przyjęcia. Wartość upominków wręczanych obcokrajowcom nie może przekraczać 2 tys. forintów.

Od chwili wydania zarządzenia, każdy wydatkowany forint z tzw. funduszu reprezentacyjnego musi już mieć pokrycie w rachunkach, zaś wydatki na przyjęcia i bankiety muszą być ściśle rozliczane z uwidocznieniem, ile osób uczestniczyło w tego rodzaju imprezach, co spożyto i w jakiej ilości. Już pierwsze doświadczenia zebrane przez ekipy kontrolne wykazały, iż sytuacja w tej dziedzinie znacznie poprawiła się z korzyścią dla gospodarki narodowej. Obliczono że w ciągu jednego roku oszczędności wyniosły przeszło 50 mln forintów i to jedynie w przedsiębiorstwach należących do sektora państwowego i znajdujących się w gestii rad narodowych. W poprzednich latach wzrost wydatków na cele reprezentacyjne wynosił przeciętnie 20 proc. rocznie.

RODZINA

Tadeusz Jasiński

SMĘTNIE tej jesieni na całym Podlasiu. Nostalgicznie nawet. Krajobraz równinny, trochę jednostajny, gdyby nie zdarzające się spłachetki lasów. Zbliżamy się do celu. — Nie, nie na lewo, nie do Gęsi, jedźmy w prawo! — Mijamy tu i ówdzie rozrzucone zabudowania gospodarskie, okolone polami. Dopiero za zakrętem wyłania się przed nami długa ulicówka dobrze zagospodarowanej wsi: Kolano. Pytamy o dwa nazwiska: Stefaniuków i Doboszów. Oczywiście są tu dobrze znane. Zagroda Doboszów wnet przed nami, a Stefaniuków położona jest jeszcze trochę dalej. Będzie to ponoć duży dom kryty przedwojenną blachą cynkową, z łamanym dachem na szczytach.

Nikt jednak o Henryce Doboszowej nie powiedział nam bez zaznaczenia, że jest ona Stefaniukówną, wnuczką Marianny Stefaniuk, co to z Nazaruków młodą mężatką z Paszenki do Kolana przybyła na początku tego wieku i za wiejską lekarkę się ostała. Wyznawała się na ziołach i przeszło tysiąc pięćset dzieci przez całe swoje długie życie szczęśliwie przyjęła w Kolanie i okolicy. Nie dawno zmarła. Kiedy w czerwcową niedzielę ją chowali, panie! to za jej trumną ludzi szło tak wiele, jakby jakiego ministra grzebali!

— Teraz już nie ma takich mądrych ludzi, jak babka Stefaniuczka — wzdychają po niej nasi rozmówcy i odchodzą do swoich zajęć.

Mijamy szkołę z dwoma modrzewiami, o których podanie głosi, że zostały posadzone na pamiątkę wielkiej bitwy sprzed stu ośmiu laty. Na cmentarzu po niej jeszcze groby, a w lasach kurhany.

Nowi rozmówcy, zanim docieramy do zagrody Stefaniuków:

— Henryka, co to za Tadkiem Doboszem poszła w świat, redaktorką na Ziemiach Zachodnich gdzieś się ostała, w filmie nawet ją pokazują!

— A Tadeusz rzeźbiarzem jest, pomniki w miastach stawia, wysokie na pięć chłopów.

— A znowuż Krzysio uczonym został, doktorem go teraz nazywają, ale nie takim od leczenia, tylko od prawa. To samo będzie podobno z Marysią Stefaniukówną, jego siostrą, co za doktorem Szewczykiem do Lublina się wydała.

A więc w Kolanie nie jest nikomu obce, że Stefka i jej mąż, Jan Stefaniuk, swoje dzieci na ludzi wyprowadzili. Sam Stefaniuk jest w Kolanie, Parczewie i Lublinie znany jako wybitny przed wojną i po wojnie działacz ludowy, zdecydowany lewicowiec w tym ruchu. Zastaliśmy go na odległym polu przy zimowej orce. Pani Stefania w domu: po wyłuskiwaniu ziaren dyni usadowiła się akurat przy starym zabytkowym już krośnie, by dalej tkać dywan oparty na pięknych wzorach znanych w tej okolicy. Nikt tak, jak ona, nie potrafi tu tkać, nikt, jak ona, barwić wełnę, a także zagrać w zespole dramatycznym.

— Żal zostawić tyle dobra — wzdycha młodo jeszcze wyglądająca, choć spracowana kobieta. — Nie chcieliśmy jednak zmuszać dzieci do pozostania na gospodarstwie. Uczyli się dobrze, jak im tedy stanąć w poprzek drogi? Krzysia sposobiliśmy kiedyś na spadkobiercę. Jemu jednak reżyseria teatralna się marzyła, a w końcu został prawnikiem, za nim poszła też Marysia. Henryka myślała o szkole aktorskiej, ale skończyła filologię polską na UMCS. Teraz zagrała w filmach, widać było jej pisane spełnienie dziecięcego marzenia.

Dom rodzinny Stefaniuków jest niezwykle zadbany, jasny, przestronny, posiada wodociąg i łazienkę.

Rozmawiam z mieszkańcami Kolana, z rodzinami Stefaniuków i Doboszów, jednak gdy pani Stefanii Stefaniukowej zaszkliły się łzami oczy, kiedy mówiła o radości, jaką sprawiły jej dzieci, oraz o konieczności oddania z czasem dobrze prowadzonego gospodarstwa, myśl moja odbiega od rozmówców. Przypominam sobie zielonogórskie spotkania sprzed kilkunastu dni, a także uroczystość z połowy listopada na Wydziale Prawa Cywilnego UMCS w Lublinie. Magister Krzysztof Stefaniuk, pracownik naukowy tego Wydziału, walczył o tytuł doktora. Promotorem był prof. dr Jerzy Ignatowicz, dużej sławy cywilista. I oto za katedrą w sali im. J. Marchlewskiego staje wysokie, płowe, z długimi włosami chłopię, współczesny Ziemowit Piastowicz przed ostrzyżynami. Promowanie ma się tu odbyć jednak bardzo inne. Ze swadą przedstawia Krzysztof Stefaniuk główne tezy nowatorskiej pracy pt. „Treść i charakter prawny spółdzielczego prawa do lokalu w spółdzielniach budowlano-mieszkaniowych". Nic bliższego milionom ludzi.

Obserwuję rodziców. Jan Stefaniuk z początku nieruchomy, słuchający obcej mu, uczonej frazeologii, subtelności prawniczych, w końcu się porusza, przechyla do przodu. Wciąga go ta polemika, gdy jego syn znowu staje za katedrą i grzecznie, choć stanowczo, wadzi się i z recenzentami, i z dyskutantami. Czy aby nie za ostro sobie pozwala? Matka Stefania zapłonęła cała i zasłuchana jest w to wszystko, jak w czasie najlepszego spektaklu teatralnego, który przecież tak bardzo lubi. Ulga. Widać już po profesorskich twarzach, że ta niepokorność doktoranta jest po ich myśli, że tak właśnie trzeba: po chłopsku, po kolanowsku, walić czasem nawet na odlew, szczególnie gdy się wie, że ma się rację. Profesorowie wracają z narady, gratulują chłopakowi, całują spracowane ręce jego matki, winszują ojcu.

Opowiadam teraz o zielonogórskim życiu córki i zięcia, mówię o uznaniu, jakie ich tam spotyka, na które sobie zasłużyli. Miło słuchać rodzicom z ust obcego o tym wszystkim, chętnie wchłaniają słowa krzepiące, poddające myśl, że ich sposób wychowania się sprawdził, że ich chłopski trud owocuje poprzez ich dzieci w Lublinie i aż w Zielonej Górze. Sam Stefaniuk miał swój wkład w ruchu ludowym. Jako wiciowca nazywano go w Kolanie komunistą, bo znajdował się w opozycji do Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej i Męskiej; babci — jego matce — kiedyś za jej radykalne poglądy zakazano wstępu do parafialnego kościoła i musiała chodzić aż do Parczewa. Równocześnie tego jej syna — co to w myśl porzekadłowego jabłka padającego niedaleko rodzonej jabłoni uradykalnił swoje poglądy — szanowano, bo był współzałożycielem sklepu „Samopomocy Chłopskiej", a przed wojną stanowiło to wielkie udogodnienie. Był też założycielem koła Stronnictwa Ludowego, kółka rolniczego, przewodniczącym Zarządu Gminnego ZMP w Jabłoniu, radnym różnych szczebli, współorganizatorem GS. A wcześniej jeszcze założył w Kolanie i okolicy kółka samokształceniowe, angażował w to ówczesnego studenta, a dziś już profesora Semeniuka. Prelegenci „Czytelnika", agitatorzy polityczni znajdowali nocleg i przystanek w ich domu. Sojusznika miał Stefaniuk w kierowniku szkoły, Janie Abramowiczu. Niespokojny to był czas. Były pogróżki, kilka razy do studni nalano im nafty. A pani Stefania? Towarzyszyła w tym wszystkim niespokojnemu mężowi, wychowywała razem z nim dzieci, harowała ciężko i jeszcze dorabiała farbowaniem, tkaniem artystycznym. Nie byli egoistami:

— Trudno, trudno, idźcie — zgodzili się, gdy najpierw Henryka, potem Krzysztof i wreszcie Marysia zapisywali się do Liceum Ogólnokształcącego w Milanowie.

Sami nie mogli się kształcić, nie poskąpili więc wiedzy dzieciom i pomagali im z wszystkich sił. Także, gdy po maturze wybrali się na studia wyższe. Henryka pragnęła do szkoły aktorskiej, ale dyrektorka liceum odradziła, bo w takich szkołach, to, proszę pani, wielkie zepsucie! Magisterkę pisała więc „Z problematyki twórczości Brunona Szulca" i to wtedy, kiedy stawał się u nas dopiero modny. Jak więc spełniałaś swoje zamiłowania, skoro poszłaś inną drogą? — pytałem w czasie jednej z zielonogórskich rozmów. Trochę mogła się wyżyć w radiowęźle akademickim, należała do teatrzyku poezji na Zamku, którym opiekowała się aktorka Zofia Bajuk, była w teatrze studenckim, gdy Rozhin stworzył „Gong", ale potem przyszła praca w Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, a następnie w „Gazecie Zielonogórskiej" i od ośmiu lat w dwutygodniku „Nadodrze", gdzie jest kierowniczką działu kulturalnego i znaną publicystką. O sobie powiedziała reporterowi:

— Obudziły się we mnie dawne tęsknoty. Zawsze miałam dużo zainteresowań, więcej niż mogłam spełnić: muzyczne, plastyczne, teatralne, literackie, dziennikarskie i przede wszystkim aktorskie. Kocham życie, lubię, kiedy jestem na rozdrożu. Mamusia pragnie, abym wróciła do Lublina. Pociąga mnie miasto moich studiów. Zielona Góra wydawała mi się z początku piękną i romantyczną przygodą, bo łączyła w sobie egzotykę zachodu i ułożenie rodzinnego życia, urodzenie Agnieszki. Potem miasto to stało się dla nas obojga sprawą poważną. Zaangażowałam się w pozawodową działalność kulturalną miasta i województwa. Tu dojrzałam, więcej niż na kilku uniwersytetach; mimo że miasto to jest mniejsze od Lublina miałam możność poznać wielu wybitnych ludzi sztuki, literatury z całej Polski, tu i w Łagowie Lubuskim na ogólnopolskich i międzynarodowych festiwalach i innych imprezach kulturalnych dużej rangi. Przede wszystkim tu jednak uzyskałam świadomość siebie, urosłam jako człowiek, w swą pracę włożyłam najlepszą cząstkę mego życia. Uznano tę działalność Lubuską Nagrodą Kulturalną, odznakami „Zasłużonego Działacza Kultury" oraz „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego", a także odznaczeniami i nagrodami I i II stopnia Klubów Publicystyki Społeczno-Politycznej oraz Publicystyki Kulturalnej Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Tam, na Lubelszczyźnie, dopełniało się moje dzieciństwo, stamtąd wyniosłam upór i zrozumienie, że cokolwiek człowiek podjął się robić, musi robić dobrze. To wpojono mi jeszcze w rodzinnym domu i za to jestem wdzięczna rodzicom. Pozostał jednak sentyment i kto wie, czy nie stanie się tak, jak to w piosence Santorki: Zatęsknisz do rodzinnych stron... Na razie mam tu jeszcze coś nie coś do zrobienia. Zresztą mąż także znalazł tu pole do działania, a dla artysty rzeźbiarza jest to sprawa o najpierwszym znaczeniu.

Stąd, z Kolana, z rodzinnej wsi Tadeusza Dobosza, jakże daleka droga do jego zielonogórskiej pracowni! Z tych izb, z których przed laty jednak wyszedł w odległy, nieznany świat, łatwo wysłać myśl, łatwo przywołać usłużną pamięć i znaleźć się znowu w pracowni pełnej figurek, posągów, brył już ukształtowanych i takich, w których artysta zaledwie zarysował swój przyszły zamysł. Bardziej znaczące pomniki Tadeusza można podziwiać w Skwierzynie, Zarach i Nowej Soli: Władysława Jagiełły, Żołnierzy Radzieckich, Bohaterów II Wojny Światowej. W samej stolicy województwa współrealizował Pomnik Bohaterów według projektu Anny Krzymańskiej. W nowej Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej Zielonej Góry mogłem zobaczyć porywające popiersie Norwida dłuta jego i Marka Przecławskiego, wreszcie płaskorzeźby w sulechowskiej „Dianie", popiersia Mickiewicza i Świerczewskiego. Wyliczam tylko te dzieła, które poznałem osobiście.

W pracowni zastałem mistrza Dobosza nad żmudną czekanką, jego nową pasją po podróżach do Gruzji i Jugosławii. Przypominam mu jego pierwszy występ w „Złotym Gronie — 67" pod nazwą „Przestrzeń i wyraz".

— Interesowały mnie wtedy aranżacje przestrzenne, zestawienia żywego światła z jego lustrzanym odbiciem na tym samym rzucie, układy geometryczne, zdynamizowana przestrzeń, świat techniki, narzędzia, np. piły niszczące świat żywy. Wystawiłem wtedy pnie drzew, które według mnie są formą biologiczną, w tym wypadku zniszczoną przez piły. Uzyskałem to przez ruch, dźwięk pił, ruchomość światła. Potem interesowały mnie, to nie minęło do dziś, dzieła bardziej monumentalne, np. pomniki. Sporo jednak zrobiłem w płaskorzeźbach. Znajdują się one m. in. w sali widowiskowej Huty Miedzi „Głogów", w poznańskim parku na Cytadeli, niejednego dokonałem w medalierstwie. Teraz wraz z gronem kolegów mozolę się nad rozwiązaniem konkursowym problemów architektonicznych i plastycznych głogowskiej starówki. Ta nasza praca stała się też sporym doświadczeniem w formułowaniu zasad coraz bardziej znanej „Karty Łagowskiej".

Obserwuję historię rodziny Stefaniuków, sięgam do najnowszej w familii Doboszów i wszystko układa mi się w logiczną całość. Rzadko zaprzepaszcza się to, co wynosi się z domu, choćby objawiło się w innej dziedzinie. Chłopski upór, wierność pewnym zasadom, konieczność doprowadzenia do końca przyjętych zobowiązań, a nade wszystko umiłowanie człowieczeństwa w innym człowieku. Humanizm w pracy Krzysztofa, Marysi, publikacjach Henryki i dziełach Tadeusza, oto jedna z wielkich wartości wyniesionych z rodzinnej wsi Kolano w powiecie parczewskim.

Tadeusz Dobosz przy Pomniku Bohaterów w Zielonej Górze.

Fot. B. Bugiel

Obecnie na ekranach możemy oglądać film Janusza Nasfetera pt. „Nie będę cię kochać". Główną rolę znany reżyser powierzył amatorce Henryce Doboszowej. Gra ona w nim rolę matki kilkunastoletniej dziewczynki, jest żoną mężczyzny popadającego w alkoholizm. Na tegorocznym gdańskim festiwalu obraz ten zdobył nagrodę publiczności. Telewizja wyświetli wnet film Wojciecha Marczewskiego pt. „Wielkanoc", oparty o nowelę Jerzego Putramenta. Doboszowa wystąpiła w nim jako młoda kobieta przeżywająca bardzo dramatycznie swój los związany z wojną. Są nowe propozycje.

— Stał się cud niezwykły — zwierza się dziewczyna z Kolana. — Tylu jest aktorów zawodowych, a tymczasem reżyserzy wybrali mnie...

Wyjeżdżamy z Kolana, jedziemy drogą, którą dzieci tej wsi przebywały na rowerach do szkół średnich, a teraz autobusem. Minął czas Janków Muzykantów, jest czas zamierzonych spełnień. Niesiemy w sobie wiedzę o losach jednej tylko rodziny z Podlasia, czy jednak nie ma ona szerszego odzwierciedlenia losów ludzkich?

KARPOW PRZECIWNIKIEM FISCHERA

Krzysztof Pytel

W DRUGIEJ połowie listopada, po przeszło dwumiesięcznej batalii w Moskwie zakończył się mecz szachowych pretendentów do tytułu mistrza świata. W meczu tym zmierzyli się dwaj arcymistrzowie radzieccy: wielokrotny pretendent, czterokrotny mistrz Związku Radzieckiego Wiktor Korcznoj i wschodząca gwiazda, omal dwukrotnie młodszy od rywala 23-letni arcymistrz Anatoli Karpow.

Zwycięzcą tego maratońskiego pojedynku został Karpow, który wygrał 3 partie (II, VI i XVII) — Korcznoj wygrał 2 (XIX i XXI) przy 19 remisach.

Tak więc prognozy wielu znawców, którzy dawali więcej szans Karpowowi, sprawdziły się. Jednak rezultat, a jeszcze bardziej styl zwycięstwa, mocno rozczarowały zwolenników talentu młodego arcymistrza.

W przeważającej większości pojedynków, wyraźnie, inicjatywą władał Korcznoj. To, że partie te kończyły się remisem, a XVII przyniosła nawet sukces młodemu pretendentowi, to bardziej „zasługa" Korcznoja, który popełniał ewidentne i poważne omyłki, nie zaś znakomitej sztuki prowadzenia obrony, na który to atut Karpowa zwracano uwagę przed meczem.

Korcznoj — walczący niezmordowanie i z wielką energią, wykazał się także lepszą kondycją. Niestety, do uzyskania sukcesu w tej zaciętej i wyrównanej walce zabrakło mu niezbędnego łutu szczęścia, a być może, momentami, zawodziły go także nerwy...

Należy także zauważyć, że Karpow dysponował sztabem pomocników najwyższej klasy: arcymistrzowie Geller i Furman to aktualnie przodujący w świecie teoretycy. Korcznojowi pomagali zaś wyraźnie słabsi: mistrzowie międzynarodowi Osnos i Dżindżichaszwili.

A oto dwa efektowne pojedynki tego meczu.

A. KARPOW — W. KORCZNOJ OBRONA SYCYLIJSKA, II PARTIA MECZU.

1. e4 c5, 2. Sf3 d6, 3. d4 cd4, 4. S:d4 Sf6, 5. Sc3 g6, 6. Ge3 Gg7, 7. f3 Sc6, 8. Hd2 00, 9. Ge4 Gd7, 10. h4! Wc8, 11. Gb3 Se5, 12. 000 Sc4, 13. G:c4, W:c4, 14. h5 S:h5, 15. g4 Sf6

Ta sytuacja jest znana z pojedynku pomiędzy Gellerem i Korcznojem z ich meczu w 1971 r. Nic tedy dziwnego, że młody pretendent jest doskonale obeznany z subtelnością systemu, którym Korcznoj — wówczas — pokonał jego obecnego trenera...

16. Sd2! Ha5, 17. Gh6, G:h6, 18:h6 Wfc8, 19. Wd3!

Można przypuszczać, że idea ataku rozpoczynającego się 16 i 19 posunięciem białych została znaleziona we wcześniejszej analizie domowej przez ... Gellera i obecnie Karpow dość łatwo inkasuje punkt.

19 ... W4c5, 20. g5!! W:g5

Nie lepsze było 20 ... Sh5, 21. Sf4 W:g5, 22. Scd5 itd

21. Wd5! W:d5, 22. S:d5 We8, 23. Sef4!

Białe prowadzą natarcie ze straszną siłą.

23 ... Ge6, 24. e5! G:d5

lub 24 ... de5, 25. S:f6,+26 Sh5! z matem

25. ef6 gf6, 26. H:h7+Kf8, 27. Hh8+

i czarne poddały się wobec perspektywy: 27 ... Ke7, 28. Sd5+H:d5, 29. We1+itd

Srogi rewanż nastąpił w XIX partii meczu.

W. KORCZNOJ — A. KARPOW OBRONA NOWO-INDYJSKA

1. d4 Sf6, 2. Sf3 e6, 3. g3 b6, 4. Gg2 Gb7, 5. c4 Gc1, 6. Sc3 00, 7. He2 c5, 8. d5 ed5, 9. Sg5 Sc6

Narzucające się 9 ... h6? przegrywało po 10. S:d5!

10.S:d5 g6, 11. Hd2!

Bardzo oryginalne i silne posunięcie.

11 ... S:d5, 12. G:d5 Wb8?

A to już decydujący błąd!

13. S:h7!! We8

Przyjęcie ofiary 13 ... K:h7 przegrywało następująco: 14. Hh6+Kg8, 15. H:g6+Kh8, 16. Hh6+Kg8, 17. Ge4 f5, 18. Gd5+Wf7, 19. Hg6+itd

14. Hh6 Se5, 15. Sg5 G:g5, 16. G:g5 H:g5, 17.H:g5 G:d5

jeśli teraz 18. Wf1? to Sf3+

18. 00! G:c4 19. f4

i czarne poddały się. Niebywały pogrom, zwłaszcza w pojedynku na tak wysokim szczeblu...

Tak więc w czerwcu przyszłego roku dojdzie do kolejnego pojedynku „szachowych gigantów", Karpow spotka się z Fischerem.

Oczywiście mecz dojdzie do skutku, o ile Fischer do 1 marca 1975 r. wyrazi zgodę na regulamin pojedynku ustalony przez Międzynarodową Federację Szachową. Obecnie w tej materii istnieją poważne rozbieżności zdań, bądźmy jednak optymistami: zapewne obie strony pójdą na wzajemne ustępstwa...

A więc kto zwycięży: Anatoli Karpow czy Boby Fischer?!?

Kilka miesięcy temu Wiktor Korcznoj w wywiadzie prasowym oświadczył: „Postaram się wygrać z Karpowem, aby uchronić młodego arcymistrza przed szokiem, który mógłby spotkać go w przypadku pojedynku i nieuchronnej — przynajmniej obecnie — porażki z Fischerem".

Korcznoj słowa nie dotrzymał i młodego pretendenta nie zdołał pokonać. Wielu dziennikarzy wypowiedź Korcznoja potraktowało jako żart. Kto jednak bliżej zna Korcznoja, ten wie, że „straszny Wiktor" nie żartował — po prostu zawsze mówi to co myśli.

Zresztą nieco wcześniej tenże Korcznoj oświadczył, że nikt z jego pokolenia, a więc ani Spasski, ani Tal, ani Petrosjan, ani on sam szans na pozbawienie Fischera korony nie ma. Wypowiedź ta dobitnie świadczy o respekcie wobec klasy i umiejętności Fischera. Karpow jednak jest optymistą i uważa, że może wygrać z każdym graczem na świecie, a więc z Fischerem także!

Co myślą i mówią inni?

Omal wszyscy wybitni komentatorzy — być może rozczarowani bladą grą Karpowa w meczu z Korcznojem — nie dają w swych prognozach najmniejszych nawet szans pretendentowi.

W każdym bądź razie w formie dotychczas prezentowanej jego szanse wyglądają mizernie. Argumenty, że Karpow ostatnio zwyciężył w kilku wielkich turniejach, są blade. Po pierwsze — nie zawsze był samodzielnym zwycięzcą, po wtóre, w najsilniejszym turnieju ostatnich lat (ubiegłoroczne mistrzostwa ZSRR) był na 2—5 pozycji, zdecydowanie pozostając za Spasskim. Ma jeszcze bardzo mało wygranych pojedynków z szachistami ścisłej ekstraklasy światowej. Znacznie więcej od niego zwycięstw w poważnych turniejach zanotowali zarówno Tal jak Spasski, czy też Larsen i Portisch. Także styl zwycięstw daleki jest od tego, co demonstrowali — bardzo często — Korcznoj i Fischer.

O ile Karpow wygrywał turnieje uzyskując w granicach 66% punktów i minimalnie wyprzedzał rywali to Korcznoj, a zwłaszcza Fischer, okazywali się strasznymi „kosiarzami" i niejednokrotnie uzyskiwali rezultaty w granicach 90%, dystansując rywali o ładnych kilka punktów.

Ma jednak młody pretendent jeden zasadniczy atut, który — moim zdaniem — czyni kwestię rezultatu meczu o mistrzostwo świata sprawą niejasną przynajmniej na razie. Karpow zdobył prawo do walki o tytuł mistrza świata już w pierwszym cyklu eliminacji, w jakim uczestniczył. Uprzednio sztuka ta udała się tylko dwu jego rodakom: Dawidowi Bronsztajnowi w 1950 r. (mecz Bronsztajna z Botwinnikiem w 1951 r. zakończył się remisem i Botwinnik zachował tytuł) oraz Michałowi Talowi w 1960 r. (który w 1960 r. zdetronizował Botwinnika — co prawda zaledwie na jeden rok).

Właśnie ta okoliczność odkrywa nam nieokreślone możliwości pretendenta. Trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, czy Karpow osiągnął już maksimum swych umiejętności, czy też — co jest wielce prawdopodobne — gra w granicach 60—70% posiadanego potencjału. Innymi słowy — skala talentu Karpowa jeszcze się nie ujawniła i nie wykluczone, że odpowiedź na to frapujące wszystkich miłośników gry królewskiej pytanie padnie dopiero w meczu o mistrzostwo świata. Jeśli stanie się tak — to wówczas geniusz Fischera napotka dostojnego rywala.

Widzę też jeszcze jeden maleńki „plusik" podnoszący szanse Karpowa — o ile siłą i niezłomnością charakteru Fischer mu nie ustępuje, to zdecydowanie mocniejszym systemem nerwowym dysponuje właśnie pretendent. A ten „drobiazg" w starciu dwóch wielkich osobowości, przy ewentualnym wyrównaniu sił — może nabrać poważnego znaczenia.

Jedno jest pewne — zbliżający się mecz zafascynuje cały świat nie mniej niż poprzedni, kiedy to Fischer wydzierał berło z rąk Spasskiego. Będzie co oglądać! Już teraz radzę zaopatrzyć się w szachy i szachownice, bo w dniach meczu — podobnie jak trzy lata temu — nabyć je będzie znacznie trudniej.

A kto zwycięży? Z całą pewnością szachy jeszcze bardziej zyskają na popularności. Zwycięży zaś ... sztuka szachowa, która wzbogaci się licznymi pięknymi partiami!

SMUTNE

OSKARŻONYCH jest dwudziestu siedmiu, zarzutów jest pięćdziesiąt jeden, świadków jest kilkudziesięciu, tomów akt jest dwanaście, terminów rozpraw przed sądem było kilka, a będzie jeszcze kilka, ludzie zmieniają swoje zeznania złożone w śledztwie i może się to wszystko w grudniu skończy, chociaż nie wiadomo. Pewne jest, co napisał prokurator w akcie oskarżenia: „Zbieranie pieniędzy, celem przekupienia Lucjana Z. i podległych mu inspektorów, na zawieranie umów kontraktacyjnych stało się powszechne na terenie kilku miejscowości powiatu hrubieszowskiego" (w latach 1967—1973), aczkolwiek ostatnio świadkowie twierdzą, iż tu nie chodziło o przekupstwo, tylko o prezenty gwiazdkowe, grzeczność rolników i tym podobne. Więc pewne jest tylko, że zbierano pieniądze i przekazywano je „Lucjanowi Z. i podległym mu inspektorom". Prokurator oszacował na ogólną kwotę 280 000 złotych.

Rzecz w tym, że województwo lubelskie jest objęte działaniem Okręgowej Centrali Nasiennictwa Ogrodniczego i Szkółkarstwa w Ożarowie Mazowieckim, gdzie działem plantacyjnym kierował Lucjan Z. i pracowali „podlegli mu inspektorzy". Chodzi też o to, że w powiecie hrubieszowskim są podatne warunki agroklimatyczne dla produkcji nasion ogrodniczych, których kontraktacją na rzecz rolników indywidualnych zajmował się dział plantacyjny wspomnianej Centrali. I chodzi w końcu o to, że pośród wszystkich ziemiopłodów, to znaczy, powiedzmy, słonecznika, kopru, bobu, fasoli tycznej „piękny Jaś" i ogórków, najbardziej prawdopodobnie opłacalne są te ostatnie, do 100 000 złotych można na 25 arach zarobić rocznie. Więc wpierw trzeba się postarać o kontraktację na ogórki, a że ogórek ogórkowi nierówny, trzeba otrzymać

Rys. A. Stok

do obsadzenia odpowiedni gatunek. Nie jakieś tam „polany" czy „delikatesy", lecz „monastyrskie".

Dział plantacyjny Centrali decydował zaś o dodatkowych kontraktacjach, doborze rolników i ogórków. Zdaje się, że ta wpadka, rozpoczęta skargą rolników w milicji powiatowej, miała za podszewkę zbyt mizerny gatunek otrzymanych do obsadzenia ogórków. Ale na razie byli rolnicy, były ogórki, były pieniądze i był Lucjan Z. oraz „podlegli mu inspektorzy". Byli także „wiejscy przodownicy kontraktacji", czyli rolnicy osiągający najlepsze wyniki w plantacjach ziemiorolnych, legalnie premiowani i nagradzani. Byli na koniec dyrektorzy wiejskich szkół, zainteresowani w sprawie, bo sami kontraktujący ogórki.

Z całego towarzystwa zmuszony jestem wybrać zaledwie parę postaci, albowiem nie zamierzam pisać książki. Stosunkowo najbardziej jasna jest sytuacja Lucjana Z., który przed sądem przyznał się do pobierania rolniczych pieniążków w łącznej wysokości 97 000 zł, a nie, jak twierdził prokurator, 242 700 zł. Oskarżony walczy więc o zmianę kwalifikacji prawnej czynu, zresztą nie jest wykluczone, że część kwot „znikła po drodze". Bo dalej to już noc ciemna i galareta. Lucjan Z. twierdzi, że pieniądze otrzymywał po dokonaniu kontraktacji jako dowód „sympatii rolników", przy czym nie były jednak dołączone żadne spisy nazwisk ofiarodawców.

Pieniędzy nie można dać krętaczowi, co nawet świeczki nie postawi prosto, więc kto mógł przekazywać Lucjanowi Z. rolnicze fundusze? Albo pan dyrektor szkoły, albo obywatel przodownik kontraktacji, osoby najbardziej zaufane we wsi. Jeden z przodowników powiada na przykład, iż przekazał Lucjanowi Z. 23 000 zł wraz ze spisem nazwisk ofiarodawców. Lucjan Z. — że tylko 13 000 zł i bez spisu. Marian B., plantator, oskarżony jest, że organizował zbiórkę pieniędzy dla panów z Centrali; tak zeznali świadkowie w śledztwie. Przed sądem świadkowie wycofują się rakiem. Było jakieś zebranie wiejskie, mówiono, że trzeba dać po 500 zł na „gwiazdkę" dla inspektorów, ludzie się składali, a Marian B. spisywał nazwiska, bo był najmłodszy, na czym jego rola się skończyła. Pieniądze potem przekazano Lucjanowi Z., który tylko powiedział: „życzę owocnych plonów" i wsiadł do samochodu razem z inspektorami. Dawali, bo szły pogłoski, że inne wsie też dają.

Henryk S. dyrektor szkoły, oskarżony jest, że powołując się na swoje wpływy u ludzi z Centrali, organizował zbiórkę gotówki pośród rolników i przekazywał te kwoty Lucjanowi Z. Tak by wynikało ze śledztwa. „Postępowaniem swoim, jako dyrektor szkoły, stworzył przekonanie wśród miejscowej i okolicznej ludności, że właściwym sposobem załatwiania spraw związanych z kontraktacją ogórków jest przekupstwo urzędników" — napisał prokurator w akcie oskarżenia. Zainteresowani rolnicy złożyli Wysokiemu Sądowi pismo, z którego wynika, że oni sami „zmuszali go, Henryka S., do pośredniczenia", on nie-

Kamena str. 4

Mosty przyjaźni

Prof. dr Iwan Wiszniewski i doc. dr Teofil Komaryneć

Fot. J. Trembecki

OSTATNIO przebywali w Lublinie w ramach międzyuniwersyteckich kontaktów kierownik katedry literatury rosyjskiej Uniwersytetu im. I. Franki we Lwowie, prof. dr Iwan Wiszniewski i pracownik katedry literatury ukraińskiej tej uczelni, doc. dr Teofil Komaryneć.

Prof. dr Iwan Wiszniewski wykładał w latach 1965—1969 literaturę rosyjską na UMCS, czuje się więc w naszym mieście jak w domu, chociaż...

— Bardzo wiele przez te pięć lat, kiedy byłem po raz ostatni, w Lublinie się zmieniło. Wyrosły nowe dzielnice, doprawdy można teraz zabłądzić — dodaje z uśmiechem. — Sądzę również, że znacznej poprawie uległo zaopatrzenie, ludzie żyją dostatniej. Mnie, oczywiście, szczególnie interesuje wasz uniwersytet, jego osiągnięcia. Na rusycystyce UMCS wielu ówczesnych magistrów jest dzisiaj doktorami, habilitowanymi docentami. Sześciokrotnie powiększyła się kadra naukowa i tyleż samo wzrosła liczba studentów. Aż trudno mi uwierzyć, że razem ze studentami zaocznymi kształci się na rusycystyce około 600 osób.

— Pan jest po raz pierwszy w Lublinie — zwracam się do doc. dr Teofila Komaryncia. — Szczególnie więc interesują mnie pana wrażenia.

— Pierwszy, ale chyba nie ostatni, bo kontakty między naszymi uniwersytetami stale rozszerzają się. Podoba mi się Lublin, a szczególnie urzekło mnie Stare Miasto, prawdziwy unikat, i Miasteczko Uniwersyteckie. Lublin stał się rzeczywiście poważnym ośrodkiem naukowym. Obecnie wspólnie z kolegami z filologii polskiej i rosyjskiej UMCS przygotowujemy wspólną, obszerną publikację: „Mosty przyjaźni". Ukaże się ona w języku polskim i ukraińskim. W trzech rozdziałach (pierwszy obejmie lata z końca XIX wieku do 1939 r., drugi — okres wojny, a trzeci — lata powojenne) szczegółowo przedstawimy wspólne powiązania obu naszych narodów, wzajemne przenikanie się kultur, osobiste kontakty pisarzy i działaczy. Jestem współodpowiedzialny za pierwszą część publikacji, sądzę, że materiały będą bardzo interesujące.

Prof. dr Iwan Wiszniewski ma poza sobą bogaty dorobek: siedem większych publikacji książkowych. Obecnie pracuje nad międzysłowiańskimi związkami literackimi i nad kierunkami współczesnej literatury radzieckiej, natomiast doc. dr Teofil Komaryneć, autor pięciu publikacji książkowych, zajmuje się problemami folkloru, powiązaniami między folklorem a literaturą, a także twórczością Szewczenki.

Miłym akcentem jest, że obaj naukowcy mówią po polsku, stale mają kontakt z naszą prasą, problemy naszego kraju nie są więc im obce. Na zakończenie naszej rozmowy proszą o przekazanie pozdrowień przyjaciołom z UMCS, którzy tak serdecznie ich tu gościli.

(mj)

WSPÓŁCZESNA POEZJA UKRAIŃSKA

Roman Łubkiwski

* * *

Schnie wkrąg siano. Schnie błękitne siano
Nad czerwienno-zielonym pagórem.
(Stała trawa nieulękłą ścianą,
Nie schylimy czubów! — brzmiało chórem).

Utrudzona kosa... Ileż głów...
Z kapelusza wzeszedł księżyc niespokojnie.
...A nad ranem — ballada bez słów
O zaginionych na wojnie.

KONIE

Chodzą po ściernisku,
Chodzą po wygonie
Konie moje kare,
Wrone moje konie.

Złotą sobie uzdę
Kupię od księżyca,
Nieposłuszne konie
Przywabię, przychwycę.

„Twoja uzda złota
Obejmować będzie
Dławiącym uściskiem
Te szyje łabędzie.

A srebrne wędzidło
Wargi porozrywa..."
Trwożne rżenie stepem
Daleko odpływa.

Najbielszej pszenicy
Słońce mi przysporzy,
Błękitnej do żłobów
Ponalewam zorzy...

Lecz nie idą ku mnie,
Poszły w inną stronę
Konie moje kare,
Konie moje wrone...

Przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

* * *

Przyjdź do mnie imieniem łaskawym i czystym,
Przyjdź babim też latem czy szronem srebrzystym,
Lub trawą zieloną — nie trawką malutką,
I burzą wiosenną — nie mżawką drobniutką.

Przyjdź do mnie najwcześniej promieniem poranku,
Pogwarem stubarwnym znad ulic, jarmarków,
Przyjdź do mnie napięciem i nerwów i mięśni,
Przyjdź do mnie melodią Chopina i pieśnią.

Przyjdź do mnie najszybciej! Stań chociaż opodal,
By o mnie wiedziały twe wargi wciąż młode,
By oczy twe do mnie się znów uśmiechały,
A ręce — do serca mojego sięgały.

I stój tak nade mną jak tkliwa madonna,
Dopóki me słońce nie zgaśnie za skłonem.
I odejdź ode mnie,
gdy oddech zaginie,
Ostatnim mym słowem,
ostatnim poczynem!

Przełożył
Piotr Kupryś

OGÓRKI

winny, oni winni, bo mu dawać nie powinni.

66 osób podpisało to oświadczenie i zasadniczo można by ich wszystkich... posadzić, tylko gdzie wtedy szukać świadków? Henryk S. sam jest plantatorem, co mu, widać, nie przeszkadza w wypełnianiu obowiązków dyrektora szkoły. Zeznał: rolnicy sami do niego pieniądz przynosili, spisu nazwisk nie robił, na swoje wpływy nie powoływał się, wręczył na przykład 17 500 zł Lucjanowi Z., dlaczego tamten twierdzi, że 16 500 zł, nie rozumie, i rolnicy otrzymali dodatkową kontraktację.

„Przecież nikogo nie zabiłeś ani zamordowałeś, państwa nie okradłeś, na polityce się nie znasz, a więzień jest tylko dla ludzi" — napisała do Henryka S. jego żona, kiedy siedział w areszcie po raz pierwszy (bo potem go zwolniono i posadzono po raz drugi).

Inny dyrektor szkoły, też plantator, powiada, iż żadnych pieniędzy ludziom z Centrali nie przekazywał, tylko jakieś zalepione koperty, które mu wręczały jakieś kobiety, mówiąc, że są to jakieś podania. Grubszą kopertę miał wręczyć Lucjanowi Z., cieńszą jednemu z inspektorów. Tak też zrobił, bo obaj nadstawili kieszenie. Co było w kopertach, nie wie i to go nie interesowało, ponieważ był nieco po wódce, a drobny poczęstunek dla ludzi z Warszawy wolno mu chyba urządzić. Ludzie z samej Warszawy przecie, drogą utrudzeni.

I tak trwało latami. Lucjan Z. i „podlegli mu inspektorzy" niczego nie żądali. Rolnicy pieniądze zbierali. Dyrektorzy i przodownicy kontraktacji niby nie chcieli pośredniczyć, a pośredniczyli. Pracownicy Centrali na koniec nadstawiali kieszenie pod „kopertówy"... Pojawia się szereg pytań. Czy Lucjan Z. i jego inspektorzy uzależniali kontraktacje i gatunek ogórków od otrzymanych łapówek? A jeśli nawet nie uzależniali, to czy przyjęcie „lewych" pieniędzy po konkretnej kontraktacji w obliczu faktu, iż miały być zawierane kontraktacje w następnych latach, nic nie znaczy (dotyczy to w zasadzie głównego oskarżonego)? Czy pośrednicy powoływali się na wpływy w Centrali? Czy spisy ofiarodawców docierały do Lucjana Z.? Jeżeli nie wszystkie składkowe kwoty otrzymywali pracownicy z Warszawy, to kto po drodze przechwytywał pieniądze? Szereg istotnych pytań w tej brudnej i smutnej sprawie.

Jednym z większych orłów okazał się podczas rozprawy sądowej Marian B., plantator, odpowiadający z wolnej stopy. Jeden ze świadków zeznał mianowicie, że Marian B. pobił go za rzekomo kłamliwe zeznania i groził, że go zabije oraz spali, więc świadek wniósł przeciw Marianowi B. sprawę do sądu o pobicie. Jeszcze tego dnia rano przed rozprawą „ogórkową", podczas której miał świadek zeznawać, Marian B. znów groził mu pobiciem, na co świadek ma świadków. Wysoki Sąd postanowił aresztować Mariana B. na sali rozpraw, na co adwokat Mariana B. złożył natychmiast zażalenie do Sądu Najwyższego! W takiej atmosferze toczy się ta sprawa...

Ale mam tu jeszcze ochotę na zrekonstruowanie innej atmosfery. Zdarzało się bowiem, iż kontraktacji dokonywano w lokalu szkoły, której dyrektor był zarazem plantatorem. Przyjeżdżali panowie z samej Warszawy, rozdziewali się z futer i kożuchów w mieszkaniu dyrektora (bo kontraktacje z reguły zimą), przekąsili małe co nieco i na salę szkolną. A tam już ciżba wielka i smrodliwa, ludzie kopcą machorę, siedzą w waciakach i walonkach, piwem i gorzałą zalatują, bo to dzisiaj wielkie święto — kontraktacyja! I bywało, że gdy trwała kontraktacja, chłopi w kącie po cichu robili zrzutę dla panów inspektorów, po 200, po 500 złociszów. Widzę ich, jak ściskają w garściach spocone pieniądze, jak przekazują papierki pośrednikowi, jak pośrednik chyłkiem wymyka się do sieni, żeby potem dyskretnie wsadzić kopertę do kieszeni futra pana kierownika czy aktówki pana inspektora, jak pan inspektor udaje, że niby nic, że wszystko legalnie i w porządku. A potem jeszcze ochlaj w mieszkaniu dyrektora szkółki, bo tylko tam są jakieś ludzkie nakrycia stołowe, natomiast kurczęta i wódka są chłopskie, a może po części dyrektorskie, bo przecież nie kierownicze i nie inspektorskie. I widzę, jak potem ci chłopi wokół siebie chodzą, jak dyskretnie sprawdzają, czy wszystkie pieniądze zostały przekazane, jak myślą: „skoro tak dobrze poszło, to trzeba się zebrać i w przyszłym roku, kiedy znów będzie się kontraktować ogórki, monastyrskie najlepiej, do 100 000 złociszów z 25 arów..."

Lucjan Z., kierownik działu plantacyjnego Centrali, lat 47, studia wyższe rolnicze, żonaty, posiadający dzieci, pensja 5000 zł miesięcznie, odznaczony, aktywista społeczny, opinia służbowa: „Był pracownikiem zdolnym, sumiennym w pracy, koleżeńskim, zdyscyplinowanym i obowiązkowym".

Zdzisław K. jeden z „podległych" inspektorów, lat 39, studia wyższe rolnicze, żonaty, posiadający dzieci, świetna opinia służbowa, zarobki dobre.

Henryk S. dyrektor szkoły, plantator, lat 44, studia wyższe niepełne, żonaty, posiadający dzieci, pensja 4 500 zł miesięcznie, odznaczony, aktywista społeczny, doskonała opinia służbowa.

Jerzy B., drugi dyrektor szkoły, plantator, lat 39, studia wyższe niepełne, żonaty, posiadający dzieci, odznaczony, świetna opinia służbowa, zarobki dobre.

Dosyć! Czasami się zastanawiam, czego tacy ludzie chcą? Czyżby „odbijali" na wyrost swe tak zwane trudne dzieciństwo? Czyżby rekompensowali jakieś mroczne atawizmy, ciągnące się jeszcze z faktycznej niedoli ich ojców? Nie rozumiem.

Podciej

Kamena str. 5

okolice sztuki

Plastycy wojskowi

SZCZEGÓLNEGO rodzaju ekspozycje otwarto 23 listopada w Biurze Wystaw Artystycznych i Garnizonowym Klubie Oficerskim w Lublinie. Prezentując twórczość plastyków wojskowych, powstałą w latach 1944 — 1974, okazały się one ciekawym komentarzem do starego problemu wzajemnego stosunku sztuki i życia.

W 1944 roku plastycy w mundurach, w większości skupieni w pracowniach Centralnego Domu Żołnierza kierowanego przez Aleksandra Zabłodowskiego, nie interesowali się ładnym pejzażem, komponowaniem martwych natur, malowaniem aktów. Niedaleko był front, nad Wisłą siedzieli jeszcze Niemcy, wokół rozciągała się ziemia spalona. I ta właśnie sceneria stanowiła główny temat artystycznego działania, które na ogół niewiele miało wspólnego z konwencjonalną estetyką. Ówczesne rysunki Ignacego Witza są pośpieszne, miejscami jakby nieporadne. Prace Aleksandra Rafałowskiego to właściwie notatki marszowe, przedstawiające m. in. drukarnię polową, budowę ziemianki, smutne, zrujnowane krajobrazy, szkicowe portrety żołnierzy. Wypracowane gwasze Karola Lindera także pod względem formalnym dostarczają niejednej okazji do dyskusji. Ale w tych wczesnych rysunkach i obrazach zawarto dużo prawdy o trudnych latach wojennych. Będąc dokumentem historii, są to przecież swoiste dowody rozumienia roli artysty czasu wojennego. To byli rzeczywiście artyści walczący, nieustannie obecni społecznie. Ci młodzi, którzy obecnie próbują zatrzeć granicę między sztuką i życiem, którzy częściej poruszają się w sferze ideologii, niż w obrębie warsztatu plastycznego, mogliby w 1944 roku odnaleźć sporo materiału do osobistej refleksji.

Celem ówczesnej działalności plastycznej była skuteczność życiowa obrazów i rysunków. Z pracowni Włodzimierza Zakrzewskiego wychodziły dziesiątki plakatów, wykonywanych na grubym i podłym papierze przy pomocy szablonów. Szybciej, więcej, jeszcze lapidarniej — takie hasło przyświecało owej „produkcji" plakatowej, podnoszącej najbardziej aktualne, żywe problemy. Na niewielkich prostokątach poza obrazem znajdowały się zazwyczaj krótkie wierszowane teksty w rodzaju: „Dziś się spełnia chłopska wola /Synu walcz o nasze pola!", albo „Za Oświęcim, za łapanki/ Za koszmarne dni tułacze /Za Treblinki, za Majdanki/ Idź na Niemca z rozpylaczem". Ppłk. Jerzy Cieślak, animator tegorocznej imprezy lubelskiej, wspomina, że podczas przedstawienia „Królowej Przedmieścia", do którego wykonał scenografię, na scenie pojawiał się woźnica śpiewający kuplety antyhitlerowskie. Obowiązywała zasada aktualności i społeczno-politycznej przydatności dzieła, co w zasadzie nikomu nie przeszkadzało w twórczości. Ówczesne plakaty Tadeusza Trepkowskiego — „Chwała wyzwolicielom" czy „Poborowi do szeregu" z 1945 roku — znalazły już trwałe miejsce w historii polskiej plastyki. Inna sprawa, że Trepkowski był indywidualnością wybitną i prekursorską.

Teodor Zawadzki: „Atak", linoryt

Fot. A. Polakowski

Twórczość dziś już historyczną pokazano w GKO, gdzie zresztą, w tej samej sali, 19 listopada 1944 roku otwarto pierwszą w wyzwolonej części Polski wystawę prac plastyków wojskowych. Z tej okazji I. Witz tak pisał w 110 numerze „Rzeczypospolitej":

„Z bardzo zrozumiałych powodów ma ona (wystawa) nadzwyczaj różny poziom. Są prace dojrzałych i pełnych artystów, są prace adeptów i najprawdziwszych amatorów. Rozmawiałem z paroma z nich, widziałem pracownię sztalugową i zrobiło mi się nieco dziwnie, bo dotychczas wojsko i sztuka jakoś nie bardzo chodziły ze sobą w parze. Fakt, że stan ten zmienił się, jest nadzwyczaj pocieszającym zjawiskiem. Naprawdę piękna inicjatywa powinna wydać niezłe rezultaty. Armia nasza jest armią ideową. W Armii naszej znaleźć się musi miejsce na kulturę. I znajdzie się".

Sprawdziły się słowa autora „Obszarów malarskiej wyobraźni". Wojsko od wielu lat szczodrze patronuje sztuce, organizując wystawy, finansując plenery i konkursy plastyczne, dokonując licznych zakupów; sumy przeznaczane na te cele idą w miliony złotych. Obecny na otwarciu ekspozycji generał Albin Żyto, zastępca szefa Głównego Zarządu Politycznego WP, powiedział, że współdziałanie z artystami wojsko uważa za coś zupełnie naturalnego...

Plastyka współczesna, pokazana w BWA, to malarstwo, grafika i rzeźba utrzymane na różnym poziomie, co nie jest w końcu sprawą najważniejszą, albowiem impreza jest przede wszystkim czymś w rodzaju serdecznego nachylenia się nad heroicznym okresem stawania się Polski Ludowej, w którym uczestniczyli bodaj wszyscy plastycy wojskowi. Warto przecież zwrócić uwagę na świetne medalierstwo Józefa Markiewicza, na ciekawe obrazy i grafiki Jerzego Cieślaka, Krzysztofa Kurzątkowskiego czy Włodzimierza Zakrzewskiego. W BWA przeważa sztuka kameralna, akcentująca problematykę warsztatową.

IJK

P. S. Obie ekspozycje zorganizowano dzięki staraniom Głównego Zarządu Politycznego WP, ZG ZPAP, Zarządu Okręgu ZPAP i BWA w Lublinie.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

PIEŚNI NA TRZYDZIESTOLECIE

Jeśli nic nie wiesz
jakże możesz kochać
jeśli nie czujesz
to jak masz rozpaczać
twoje dziecko też nie będzie ci
reanimacją
Jeżeli uważasz że wszystkie
zwierzęta
umierają w tym samym czasie
co motyle
nic nie wiesz o sarnach

•

Mówi miłość
to zawracanie głowy
może jej nie być
a jeżeli jest
to też nic pewnego
dziś tyle ludzi żyje
nienarodzonych i cześć
byle się nie dać ponieść sercu
ono gorszy sprzymierzeniec
niż żołądek
zaprowadzi cię z wolnej
i nieprzymuszonej woli
będziesz musiał wypowiedzieć
największe kłamstwo świata
ślubuję pani aż do śmierci

•

Wierzę w ciebie człowieku
z żelaza i kości
który jesteś mną
a ja tobą
który oddychasz
na tym samym kilometrze co ja
mogę kochać jak ty
albo nienawidzieć
podobno to wyższe stadium miłości
odpuść mi moje winy
jak ja odpuściłem tym
którzy strzelili w plecy
mojemu ojcu

•

Na pierwsze niechaj
będzie tobie Józef
na drugie Adam
boś nas wywiódł z sadu
gdy kochankami byliśmy jabłoni
Nazwisko twoje niechaj będzie
ZIELEŃ
bo ona oczy zamknie nam
ostatnia
jak w dzieciństwie kiedy
leżąc na brzuchu
pierwszy raz zobaczyliśmy
spocone mrówki

•

O śmierci dumna
z obcasem żelaza
z mirtem we włosach
nocami łazisz
po zajęczych śladach
czekasz w tarninie
u samego lasu

śmierci świerkowa
mieszkasz we mnie
kątem
i osypujesz włosy pełne mrozu
dajesz chromym słoninę
i parę jabłek
na drogę bielszą
niż gaszone wapno

•

Gdybyś się zawsze trzymał
z własnym ciałem
choć przemokniętym
do pasa zielenią
gdybyś pod strzechą
złote jabłka chował
i bród pod stopą czuł
jak sielski ranek
stąd byś zobaczył
to stado bażantów
zapadające w wiklinę epoki
ty to ktoś inny
bard z motylem i trumną
a cisza w sadzie
to twe przeszłe kroki

Fot. J. H. Kowalewski

•

Janowi Popkowi

Kto bardziej ufny stary ptaku wojny
z gębą biblijną zakopconą dymem
któż bardziej strojny niż dojrzały owoc
nawet u Płużyn ciemnego listowia
każ wyjść tak chętnie wymyślonej strunie
pod świerszczem deszczu
z wieprzowiną lata
to Janie szałas misterny na drzewie
to ledwie trądzik młodzieńczy hurysy
ona tak dobrze wyglądała w trumnie
na zdjęciu z kory w końcu karnawału

•

Kto we mnie mieszka
niech innych zaprosi
bo w deszcz nie tęgo nieść
jednemu basy
a w śnieg zaranny
i zarannym gwiazdom
za ciasno będzie
gdy jeszcze z lichtarzem
dębu
wypchną nas nocą
z tej jedwabnej karczmy

W upał kto we mnie
niech dzieli z innymi
tę konchę juchy
wyszeptanej z ciała
dzwoniącą pucharem
o stromość mych bioder
niczym zmiażdżony
bosą stopą orzech

•

Moi bliscy
i ludzie bardzo mi bliscy mówią
daj sobie spokój z tymi wierszami
przecież z tego nie można żyć
musisz mieć tak jak wszyscy przyzwoici
ludzie dobrą posadę
uczciwą pracę
Czy chcesz powiedzieć dobry wujku
Tak samo twierdzisz zacna ciociu
której po miłości do rotmistrza
został tylko zardzewiały fortepian
że poezja
jest szalbierstwem i nierządem
a ci co za nią łażą pijanice i oberwańcy
To wy tak sobie mówcie o karawanie
Tylko ja ciągle zagapiony w rzekę
nawet małe miasto jest dla mnie
o kilka numerów za duże
zwykła kobieta to zaraz madonna
Ty coś mi taki dziwny mówi matka
od dzieciństwa jakiś taki inny

Kamena str. 6

PEDAGOGICZNE STARTY I FALSTARTY

Rady i narady

Barbara Koś

CZY i dziś naprawdę nic nie słyszałaś? — dopytuję się cichutko koleżanki, sąsiadującej ze mną o pracownię.

— A co miałam słyszeć? — dziwi się zapytana.

Kamień spada mi z serca. Widać dźwięki, nie zawsze nawet artykułowane, dobywające się z ust moich uczniów podczas interesującej lekcji, nie wyszły poza obręb czterech ścian.

— Boże — mówię — jak ja marzę o takiej lekcji, żeby mieć przez całe czterdzieści pięć minut idealną ciszę w klasie i to nie tylko wtedy, kiedy wyleci szyba... Ale sama zawsze coś niefortunnego powiem: — Po co ty chodzisz do tej szkoły? — pytam dziś jednego. — To prawda — zgadza się ze mną. I już się śmieje...

— No wiesz! — oburza się Marek — Ja w takich wypadkach grobowym głosem pytam: coś śmiesznego? Skutkuje natychmiast!

— Ja mam także sposób na ciszę w klasie — wtrąca Emil. — Oni coraz głośniej a ja coraz ciszej, ciszej, wreszcie całkowicie się wyłączam. Muszą się zorientować, że zachowują się cośkolwiek nie tak, jak należy.

— Kiedy? — powątpiewam. — Pewnie przed samym dzwonkiem?

Mamy radę pedagogiczną. W związku z tym rozpoczyna się gorączkowe poszukiwanie kolegów, którzy nie zdążyli wystawić jeszcze swoich ocen.

— No, gdzie jest ten Mirek?! — denerwuję się. — Nie mam ani jednego stopnia z technologii! Przecież przed chwilą tu był!

— Musiał wyjść — wyjaśnia uczynnie Tadeusz — na bardzo ważną naradę!

— Jaką znów naradę!? — złoszczę się. — Radę ja mam także. I to za pół godziny! Narady sobie wymyślili.

— Co wpisać trzecim klasom w rubryce „zainteresowania ucznia"? — dopytuje się ktoś gorączkowo.

— Sport — wołam dumnie — ja tak zrobiłam!

— Wreszcie zaczynasz myśleć — mówi łaskawie Zbyszek — tylko w tej twojej klasie to i tak większość miała po dwie lewe nogi.

— Ja wpisałem wszystkim „turystykę lądową" — obwieszcza Marek.

— Naprawdę takich masz skautów? — patrzę na kolegę z uznaniem.

— To zobacz, ilu chłopaków przyprowadzamy z Ryśkiem w każdy czwartek z targu — chwali się kolega. — Trasy E-7 nie starczyłoby... A po wypłacie całe miasto roi się od naszych turystów. Tylko w szkole nigdy nie ma sezonu...

Punktualnie o szesnastej zasiadamy w ławkach. Mając w pamięci młode lata walczymy o tę ostatnią, pod oknem, ale tam mogą spocząć tylko Najbardziej Zasłużeni Weterani. Młodsi stażem pedagodzy muszą zadowolić się miejscami gdzie indziej zwanymi honorowymi, jakkolwiek miejsce to przeszkadza nieco równoczesnemu uczestniczeniu w pedagogicznej radzie, toczącej się z frontu, oraz w mniej pedagogicznej naradzie, która, przeniósłszy się z drugiego piętra, obecnie toczy się na tyłach.

— Stwierdzam, że moja klasa poprawiła oceny — słyszymy głos kolegi — nawet ta Zbyrytówna! Tylko z polskiego ma dwójkę? — Leszek patrzy na mnie pytająco.

— No... — zbieram myśli na inteligentną wypowiedź — właściwie to stać ją na lepiej, ale klasówkę ściągała!

— Zbyrytówna? — dobiega szept kolegi. — To niezwykła dziewczyna! Ona nawet w komunie żyła!

— Gdzie żyła? — odwracam się „na tyły". Aha, to kolega — historyk, specjalizujący się w dziejach formacji społecznych.

— Nie gdzie, ale z kim! — objaśnia cierpliwie. — Mówię, że w komunie. Pewnie nigdy o tym nie słyszałaś? Jutro przyniosę ci opracowania.

— Tadziu, a może wszystkim wykład zrobisz? — zachęcają koledzy. Atmosfera robi się coraz bardziej towarzyska. Ale głos Zbyszka, walczącego o trójkę z fizyki dla wybitnego długodystansowca, brzmi doniośle:

— Nawet prawa Ohma nie potrafi powiedzieć! — obraża się Marek — to co z tego, że szybko biega!? Żebyś ty widział, jak ja szybko biegłem, kiedy mnie raz chuligan gonił... Co mówisz?! Do sportu to i ja miałem zdolność, miałem! Przecież pełną trójkę dostałem na maturze!

— Nie pozwalajcie sobie na jarmark w klasie — stara się przezwyciężyć powstały nagle szum dyrektor. — Raz wszedłem do jednego z was na lekcję i wyszedłem, a on nie zauważył... — Po tych słowach zapada cisza. Wszyscy robimy natychmiast rachunki sumienia. — Nie opowiadajcie na lekcjach swoich życiorysów — kontynuuje dyrektor — realizujcie program.

— Patrzcie, co Kazio czyta! — szepce ze zgorszeniem Marek, nachylając się do kolegi, przeglądającego jakieś skandynawskie czasopismo.

— Coś śmiesznego, kolego? — surowo pyta dyrektor. — To może wszyscy się pośmiejemy?

— Ech, i pięciu by obskoczyła! — w zapadłej ciszy refleksja Kazia dźwięczy jak kryształ. Z ławki pod oknem, kiedyś zwanej „osłą", rozlega się sardoniczny śmiech, który jednak zaraz cichnie.

— Już nigdy, nigdy nie wyślę nikogo za drzwi, nie podniosę głosu — przysięga Marek. — bo co tu mówić o uczniach?! Spójrzcie na siebie... Nawet dwójki nie postawię!

Kolejny okólnik kuratorium jest nieco przydługi, należy coś przekąsić. — Macie tabletki na odchudzenie — Mirek życzliwie podsuwa nam pudełko czekoladek.

— Może ja to dla siebie czytam?! — podnosi głos dyrektor. Znów przypominamy sobie, gdzie jesteśmy i nawet homeryczny, tym razem, śmiech z ostatniej ławki słyszą tylko wtajemniczeni. W spokoju i ciszy zabieram się do lektury „Fircyka w zalotach".

— Spójrzcie — dziwię się — tu piszą o naszym koledze!

— Gdzie? Gdzie? — zaciekawiają się zebrani, co tam jakieś rozporządzenie, które aktualnie dobiega z katedry.

„Zaprawiony w miłostkach, ukochany wszędzie,
ledwie się do którego dziewczęcia przysiędzie,
Zalotnice publicznie, pokątnie dewotki,
Poteraią go wzrokiem, tak jest dla nich słodki!
Ja myślę, czy Inkluza nie ma, którym nieci
I teraz ze sześć w nim się kocha bez pamięci".

— Eee — krzywi się Wojtek. — Myślałem, że to coś o harcerstwie... I to przecież już stare...

Rada zbliża się szczęśliwie do końca. Narada również. W kwestii uroczystości zakończenia roku oba posiedzenia zespalają się w jedno ciało.

— Pewnie dostaną kwiaty — cieszę się.

— Obyś nie doświadczyła tego, co mój siostrzeniec — gasi mnie koleżanka. — Dałeś mamie kwiaty na imieniny? — pytam raz mądego. Chłopczyk spuszcza głowę. — Jakże, nawet w takim dniu nie dałeś matce kwiatów? — indaguję dalej. Marcinek patrzy w ziemię: — Wiązankę to ja dostałem...

Z „Budką Suflera" nie tylko o muzyce

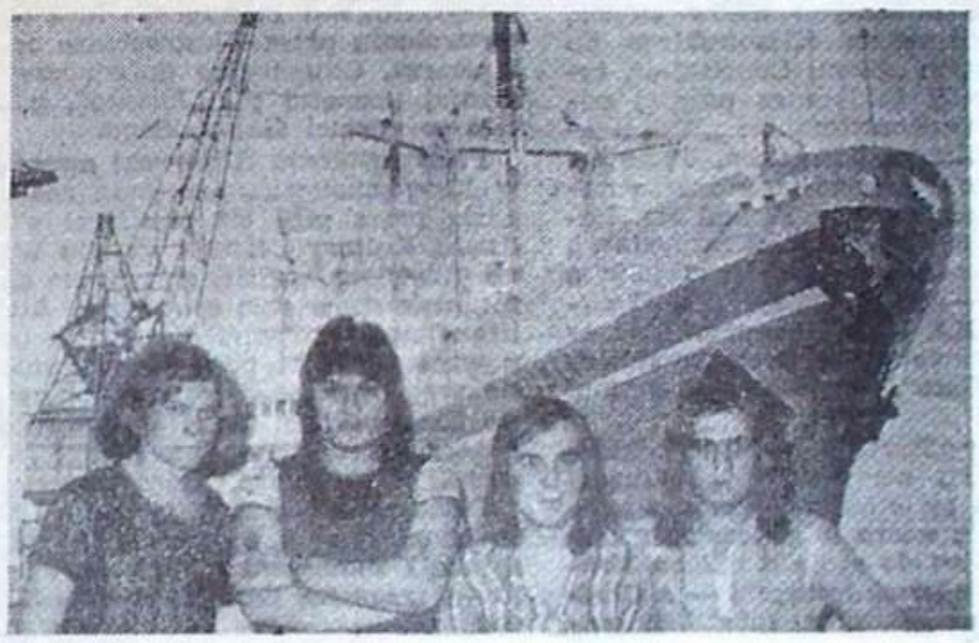

MAJĄ tylu przeciwników, ilu zwolenników; zresztą kto wie, czy pierwszych nie więcej. Jest ich czterech: Krzysztof Cugowski (śpiew), Romuald Lipko (gitara basowa), Zbigniew Zieliński (perkusja) i Andrzej Ziółkowski (gitara). Słowem: „Budka Suflera". W nagraniach radiowych i na ważniejszych koncertach towarzyszy im kwintet smyczkowy i kilkuosobowy chór. To właśnie sprawia, że owe nagrania brzmią pełniej, soczyściej, w ten sposób zalepiane są „dziury" wynikające z niedostatków brzmieniowych dwóch gitar i perkusji. Ich ostatnie kompozycje znajdują się na wszystkich krajowych listach przebojów, za miesiąc przystępują do nagrania pierwszej płyty długogrającej. Duży sukces zespołu — duży sukces miasta, które się tym zespołem opiekuje.

— Przeciwnicy o których wspominaliśmy, dzielą się na tych, którzy poddają w wątpliwość sens istnienia tego typu zespołu w Lublinie i na tych, którzy powątpiewają w poziom artystyczny zespołu.

Budka Suflera: — Może odwróćmy sytuację, by po jej wyjaśnieniu wrócić na ziemię, czyli do Lublina. Zna nas cały kraj, znają nas przede wszystkim ludzie interesujący się muzyką trudniejszą, ciekawszą. Zaproszenia na koncerty napływają z całej Polski. Piszą o nas krytycy, których zdanie liczy się w krajowych wyścigach muzycznych (Kosiński, Michalski) i piszą w samych superlatywach; wszystkie programy radiowe prawie codziennie przedstawiają nasze nagrania. Czyli coś chyba w tym jest, skoro ludzie, którzy nas nigdy nie widzieli, robią reklamę. Teraz Lublin: odczuwamy wrażenie, że to miasto ma tendencje do omijania kogoś, kto tutaj wyrósł ponad przeciętność. I tym wszystkim rządzi dziwne pytanie, z którym spotykamy się codziennie: „po co???" Przecież często ludzie, którzy w tym mieście wyrośli, a później zyskali sławę nawet przyznać się nie chcą, że pochodzą z Lublina. My sami często widzimy zdziwienie na twarzach naszych rozmówców na wieść, z jakiego to miasta pochodzimy. Mówią: „Z Lublina? To niemożliwe. Ale fajnie, że jest tam taki zespół".

— Długa, bo kilkuletnia droga zespołu upstrzona jest najprzeróżniejszymi klubami i salami prób...

B. S.: — O właśnie. Gdyby tak policzyć miejsca, gdzie próbowaliśmy coś robić i te wszystkie przykrości, jakie nas tam spotykały... Nie chcieliśmy grać muzyczki do tańca, a o to przede wszystkim chodzi kierownikom tych placówek. Przez rok dojeżdżaliśmy (oczywiście na własny koszt) do Milejowa, spaliśmy w sali prób, bo akurat ostatni pociąg odchodził zbyt wcześnie. To jest paradoks: zespół z Lublina musi jeździć na próby do Milejowa! Nigdy nie wypieraliśmy się, co nam się teraz zarzuca, że jakaś instytucja pomogła nam w „przetrwaniu", nigdy też nie twierdzimy, że jesteśmy zespołem „prywatnym". Ostatnio również mamy mecenasa (MDK), ale najdłużej korzystamy z gościnności Polskiego Radia. To jest właśnie sukces radia, nigdy nie zdobylibyśmy tego, gdyby nie znakomita opieka red. Janiszewskiego i wszystkich pracowników Rozgłośni Lubelskiej, którzy traktują nas prawie jak swoich kolegów z pracy.

— Rzeczywiście współpraca z Polskim Radiem to połowa sukcesu. Ale przecież z instytucją oficjalnie wam patronującą bywają śmieszne kłopoty?

B. S.: — Tam dostajemy minimum sprzętu potrzebnego do nagrań i koncertów, ale też wymagania są cokolwiek dziwne. Często gramy na imprezach dla miasta, oczywiście gratis. I w momencie, kiedy wyjeżdżamy do Sopotu na tydzień grać w NON-STOPIE, co jest dużą reklamą, są poważne kłopoty z wypożyczeniem sprzętu, na którym zwykle gramy. Myślenie jest takie: próba i koncert dla miasta — to sprawa firmy, koncert jako efekt w innym mieście — prywatna sprawa zespołu. My wszyscy, realizując inne plany życiowe, koncentrujemy się przede wszystkim na muzyce, praca prowadzi do dobrych rezultatów. Trzeba cały czas poświęcić na próby, załatwienie sprzętu, przygotowanie nagrań. A z czego żyć? To jest jedyny środek utrzymania, więc od czasu do czasu musimy grać dla pieniędzy.

— Jak słyszałem, osobny kłopot sprawia owo „załatwienie" aparatury do nagrań. To przynajmniej pięćdziesiąt procent czasu jakim dysponujecie.

B. S.: — Oczywiście. Nie wszystko, czym dysponujemy, nadaje się do nagrywania w studio. Musimy jeździć do kolegów i pożyczać fragmenty instrumentów, sprzęt nagłaśniający itd. Ci ludzie mają to dlatego, że w pewnym momencie zrezygnowali z ambicji artystycznych i zaczęli grać muzyczkę do tańca — a to jest oczywiście popłatne. Chcieliśmy na 30-lecie Polski Ludowej zrobić młodzieży miasta prezent w postaci pierwszej lubelskiej płyty długogrającej. Nie było na czym nagrać tej płyty. Brakowało instrumentów, sprzętu, aparatury nagłaśniającej. I nawet to, co w tej chwili posiadamy, to jeszcze za mało. MDK zakupił znakomitą aparaturę nagłaśniającą, co pozwoli nam nadrobić zaległości koncertowe w Lublinie, ale to jeszcze potrwa.

— Wróćmy teraz do spraw czysto artystycznych. Mówi się, że każde wasze nagranie przedstawia inną twarz „Budki Suflera". I tak utwory umieszczane na listach przebojów — „Sen o dolinie", „Zdarzenie", „Biały demon", „Cień wielkiej góry" — to zupełnie inne stylizowane kompozycje. Do czego to prowadzi?

B. S.: — Wejście na rynek muzyczny, na którym konkurencja nawet u nas jest dość poważna, to cała polityka. Nie można zaczynać od utworów skomplikowanych rytmicznie i melodycznie, tzn. takich, które nie nadają się na przebój. Nikt po prostu nie zwróci na to uwagi. Czym na przykład rozpoczął swą karierę Breckout? Łatwym „Gdybyś kochał mnie choć trochę", potem Nalepa przeniósł się w okolice bluesa. Nikt prawdopodobnie nie kupiłby grupy, gdyby nie ten przebój. Dlatego wystartowaliśmy „Snem o dolinie", mającym wszystkie cechy spokojnego, chociaż nie tak znów łatwego przeboju. W kolejnych kompozycjach komplikowaliśmy wzór, by dojść do tego, co jest np. atutem utworu „Lubię ten stary obraz" — mieszanki rytmów asymetrycznych, zmieniających się prawie po dwóch, trzech frazach. To jest trudne do odbioru, gdyż słuchacz lubiący „wyczuwać rytm" bardzo szybko się gubi. Dla nas natomiast to jest duża frajda grać w ten sposób, chociażby dlatego, że prawie nikt w Polsce takich eksperymentów na szerszą skalę nie uprawia. A więc — większe utrudnienia, przez to lepszy poziom i wkrótce zatrzymanie się na tym, co nas naprawdę interesuje. Pierwszy etap mamy za sobą, jesteśmy na listach przebojów — teraz możemy robić NASZĄ muzykę. Sprawa tekstów. Większość napisał Adam Sikorski i uważamy, że jest to trafienie w dziesiątkę. Tematy, które porusza, wspaniale współgrają z tym rodzajem muzyki. Jeśli „Czerwone Gitary" śpiewają o miłości szkolnej, to taka jest właśnie koncepcja ich muzyki. Banalne teksty — banalna, szalenie uproszczona muzyczka. Weźmy dla przykładu teksty Mayalla, czy naszej grupy S.B.B., a analogie nasuną się same.

— Jeszcze raz ponowię pytanie: do czego — waszym zdaniem — ma to doprowadzić?

B. S.: — Już doprowadziło. Otrzymaliśmy propozycję nagrania płyty długogrającej. Będzie się nazywała „Cień wielkiej góry" i już w lutym powinna być nagrana w całości. Poza tym przede wszystkim nagrania, no i trochę koncertów, ale nie za dużo. Lepiej się jednak czujemy w studio, wspomagani przez kilkunastoosobową grupę, i te nagrania wyglądają nieco inaczej niż koncert.

Rozmawiał:
Jacek Grün

SŁOWO O KŁOSOWSKIM

Tadeusz Kłak

PRZYSTĘPUJĘ do wspomnienia o Józefie Nikodemie Kłosowskim ze świadomością, że moje uprawnienia są dosyć skromne. Zetknąłem się z nim po raz pierwszy u schyłku jego życia, w 1956 roku. Już nie potrafię dziś odtworzyć w pamięci, ani nie jestem w stanie uzmysłowić sobie okoliczności, w jakich się poznaliśmy. W 1957 roku, kiedy zacząłem częściej zaglądać do siedziby Związku Literatów w Lublinie przy ulicy Granicznej, gdzie mieściła się wtedy także redakcja „Kameny", do której przynosiłem pierwsze swoje teksty, kontakty moje z autorem „Tańczącej karczmy" stały się częstsze, bowiem mieszkał on na pierwszym piętrze tego samego domu. Tu mieszkał wcześniej „proboszcz lubelskiej parafii poetyckiej", ks. Ludwik Zalewski. W ostatnich miesiącach życia Kłosowskiego zachodziłem do niego bardzo często na długie rozmowy, jako że wspólnych tematów nam nie brakło, a ja — ciekaw różnych spraw literackich i nie tylko — dawałem pisarzowi okazję do różnych opowieści i wspomnień. Szkoda, że najważniejszych ich momentów nie utrwalił, bowiem to, co wcielał niekiedy do powieści, miało już inny walor i przeszło pod inne kryteria oceny.

Bardzo wcześnie ujawniły się literackie zainteresowania Kłosowskiego. Rozpoczął od pisania utworów dla dzieci i młodzieży („Przeklęte miasto"), następnie przeszedł do powieści, wydając przed wojną „Tańczącą karczmę" i „Uroczysko". Wyrastały one z osobistych przeżyć i doświadczeń, miały mocny podkład autobiograficzny, ten rys będzie zresztą charakterystyczny dla większości późniejszych powieści. Doświadczenia życiowe pisarza były bardzo ciężkie. Pozostawanie latami z dala od większych środowisk twórczych i skazanie niemal wyłącznie na własne siły, opóźniało rozwój jego talentu.

Z wypowiedzi listownych Kłosowskiego wynika, iż w Krasnymstawie — w którym przebywał do roku 1939 — odczuwał wielkie osamotnienie, dlatego też szukał kontaktów na zewnątrz, o czym świadczy spora lista czasopism, z którymi współpracował (najdłużej z „Dziennikiem Poznańskim"), oraz wykaz publikowanych książek. Świadectwem tych kontaktów pozostała także korespondencja, na niektóre z jego listów warto zwrócić uwagę, jako że miały dla niego duże znaczenie, przynajmniej psychologiczne. Przełamywały krąg pisarskiej izolacji, podtrzymywały na duchu i pozwalały wytrwać w twórczym uporze. Pewne zaś znajomości przekształciły się, jak w wypadku Jana Wiktora, w wieloletnią przyjaźń.

Wspomnieć jeszcze należy o znajomości jego z Czechowiczem, po której pozostało kilka ciekawych listów autora, nic więcej. Zaczęło się od zaproszenia Kłosowskiego do współpracy w kolumnach literackich „Ziemi Lubelskiej", redagowanych przez Czechowicza. W jakiś czas później odwzajemnił się drukiem wierszy Czechowicza we „Wsi Krasnystawskiej", gdzie był kierownikiem literackim. Tematów wspólnych mieli obaj pisarze sporo: własna twórczość, sprawy Związku Literatów, współpraca z czasopismami itp. Bodaj z inspiracji Kłosowskiego powstał wiersz „Krasnystaw". W jednym z listów pisał Czechowicz: *Proszę uprzejmie o skomunikowanie się z chłopem — poetą* (chodziło o Stanisława Bojarczuka — przyp. T. K.), *o którym pisał Pan w „Dzienniku Poznańskim", aby zechciał przysłać coś ze swoich rzeczy do kolumny poetyckiej „Zetu", która obecnie jest w moich rękach.*

W innym liście Czechowicz podkreślał momenty, które zbliżały go do Kłosowskiego. Po otrzymaniu „Tańczącej karczmy" pisał: *Bardzo ucieszyła mnie książka Pana, a więcej może list, świadczący, że moja wiara w związanie z Lubelszczyzną nie zawodzi. Pisze Pan do mnie z miłego Krasnegostawu, Arnsztajnowa — z Lublina, Jaworski — z Chełma. Odpisuję, załatwiam, czuję się w stolicy lubelskim ambasadorem.* Wkrótce później Czechowicz drukował utwory Kłosowskiego w „Miesięczniku Kultury i Sztuki".

Trudny czas okupacji stał się dla Kłosowskiego okresem bardzo intensywnej pracy pisarskiej (dwie powieści z tego czasu mu zaginęły, m. in. pisane w 1940 „Klejnoty Buddy"), następnie zaś — po ucieczce przed aresztowaniem przez gestapo — działalności konspiracyjnej, zwłaszcza na polu wydawniczym. *Szczęśliwie zbiegłszy z osaczonego przez gestapo domu, wśród śnieżnej nocnej zawiei dobrnąłem skostniały do pierwszej z brzegu wsi, by zacząć trzyletnią tułaczkę, a jednocześnie i zajadłą walkę o wolność ujarzmionej ojczyzny* — pisał tuż po wojnie we „Wsi" w artykule o „Wsi Tworzącej". Był jednym z przywódców Batalionów Chłopskich na terenie powiatu krasnostawskiego i w oparciu o nie zorganizował coś w rodzaju Domu Prasy Ludowej. „Lemiesz" — bo taki był konspiracyjny pseudonim Kłosowskiego — założył i redagował takie pisma jak „Chłopski Znak", „Zielona Kadra", „Wyzwolenie" i „Kukułka" — jedno z nielicznych konspiracyjnych czasopism, przeznaczonych dla dzieci. Zorganizował przy tych pismach sporą grupę pisarzy ludowych, których utwory wydrukował następnie w dwu zeszytach „Wsi Tworzącej". Idea ta była rozwijana także po wyzwoleniu przez Kłosowskiego oraz przez innych działaczy i pisarzy. Okupacyjne doświadczenia ukazał w autobiograficznej powieści pt. „Jarzmo", gdzie pozostawił swój portret w postaci Gajewskiego.

Po wyzwoleniu Kłosowski nauczał najpierw w gimnazjum w Krasnymstawie, następnie zaś przeniósł się do Lublina, gdzie przez pięć lat piastował stanowisko naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Ze względu na przewlekającą się, chroniczną chorobę, zwrócił się o przeniesienie go w stan spoczynku. Ale pisarsko pracował nadal bez ustanku, tworzył powieść za powieścią, choć także zewnętrzne warunki pracy gwałtownie się pogarszały. Zgodzić się wypadnie ze zdaniem Stefana Papčego, który w liście do Kłosowskiego pisał: *W tak trudnych warunkach zdobyć się na twórczą pracę, ukończyć „Zawieję" i „Rodaków", to dowód bohaterstwa, które szczery budzi podziw.*

Ostatnie lata życia pisarza wypełniły zmagania się z trudnościami życia i z chorobą, co pogarszała jego bardzo zła sytuacja finansowa. O tym okresie zwięźle ale przejmująco mówi fragment listu pisarza do Michała Pudełki z lat pięćdziesiątych:

Stan mojego zdrowia jest wciąż b. słaby. W niu byłem na klinice uniwersyteckiej badany p jesorów medycyny — i, zdaje mi się, obaj mal się w chorobie, która mię trapi już czwarty ro Stan finansowy — pod zdechłym psem (emeryt 148 zł!) — zarabiam coś niecoś w prasie recenzj to grosze.

„Mgła", „Jarzmo", „Walka z aniołem" — stan wierny obraz międzywojennej wsi lubelskiej i cz Kłosowski zdawał sobie sprawę, że na nim, jako spoczywa obowiązek, by dać świadectwo czasom, piero co stały się przeszłością. Jeszcze w czasie partyzantce powziął postanowienie, by zapisać i kształcie artystycznym obraz zbrojnego wysiłku chłopów z terrorem okupanta oraz walki o spra o Polskę Ludową. Jak działalność Kłosowskiego była z BCh, tak ideowo i politycznie usytuowani haterów. Kolejne jego powieści dawały wyraz niom wsi lubelskiej, każda z nich wprowadzała staci, zawsze osadzonych w konkretach społecz nych niedawnej przeszłości. Toteż trzeba się ze tetycznym nieco określeniem Jana Szczawieja, k Kłosowskiego „bardem chłopskiej partyzantki", autor ten przyznał wartość dla ruchu ludowego na — jako wyraz chłopskiego patriotyzmu i wizerunek życia wsi polskiej w okresie okupacji. *nie cechą najistotniejszą jest tutaj to* — pisał Sz wierniej chyba towarzyszący temu pisarstwu — *Kłosowskiego wszystkimi swoimi korzeniami n bokich pokładach życia, tradycji, psychiki wsi wieś zna i kocha, u Kłosowskiego duże wrażeni sceny z życia wiejskiego właśnie dzięki niezawo tycznym realiom z tego środowiska. Kłosowski wiające swoją świeżością i wiernością obrazy ma dla niego tajemnic, jeśli chodzi o tę temat*

Był to głos entuzjasty. Ale chyba więcej było momentów krytycznych, bowiem znajomość reali tyzm doświadczeń nie szły w parze z siłą wyob gactwem warsztatu pisarskiego i nowych rozw stycznych. Wizja wsi była w książkach Kłosows salem o tym na łamach „Kameny" przed kil — dość tradycyjna, oparta na wzorcu Reymonto czej zamykała pewien nurt prozy niż uczestnic mowaniu nowego. To „nowe" weszło do prozy tyce chłopskiej dopiero później, jeśli nie licz stronic Stanisława Piętaka. Warunki, w jakich się twórczość Kłosowskiego, sprawiły, iż na pe on książek na swoją miarę; tak odczuwało w bliżej pisarza znali. Niesprzyjające dla twórczo lata jego życia i przedwczesna śmierć odegra swoją rolę. A jednak, mimo wszystkich zastrzeże za zajmuje w literaturze powojennej określone m gólnie zaś widoczne w życiu literackim Lubelsz nigdy na nadmiar prozaików nie mogło narzeka zasługi Kłosowskiego znajdują się także na in Był działaczem, regionalistą, redaktorem „Zdroj rem życia literackiego w Lublinie. Pamiętam te jaką okazywał pisarzom początkującym i cieple rych nie skąpił dla ich nie tak wielkich jesze A przecież dla niejednego z nas było to wów wiele.

Nie wracałem w tym szkicu do twórczości K chciałem raczej — w 15 rocznicę śmierci — sylwetkę pisarza, przybliżyć ją czytelnikom choć Dzieło jego życia, całkowicie przypisane ziem się urodził, zasługuje bowiem na naszą trwałą pamięć.

Staromiejskie dreszczowisko

Dokończenie ze str. 1

coś tam na zapleczu pękało i kolejny mur gotyckiej cegły walił się do dołu, porastając z wolna mchem i łopianem. Fasady trwały w pełnej krasie. Nieźle trzymała się również trylinka, którą wyłożono Rynek staromiejski, wprowadzając do średniowiecznego układu element tyle nowy, co obcy. Setki obywatelek Lublina połamało wówczas obcasy „szpilek", bezwzględnie wessane przez smołę wypełniającą spojenia podłoża. Sporo dobrego można by przy okazji powiedzieć o jakości płyt chodnikowych, którymi wyłożono uliczki — demonstrując tym samym niezgodę na jakąkolwiek doktrynę konserwatorską.

Na początku lat sześćdziesiątych Stare Miasto trzeszczało w szwach, lecz zyskiwało na malowniczości a'la włoski neorealizm filmowy. Zdesperowani mieszkańcy wysiadywali na przyzbach, albo „barowali" w mrocznych bramach rozważając żywo, kiedy wreszcie ich zabytek stęknie oblecująco. Taki dźwięk rokował przeniesienie do nowych mieszkań, w których spodziewano się zastać to, czego nie było na Starym Mieście: suche izby, indywidualne toalety, centralne ogrzewanie, gaz... A przecież nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mogą to potwierdzić fotograficy lubelscy którzy wtedy właśnie wtargnęli w dramatycznie spękaną przestrzeń, lokując w niej całkiem urodziwe modelki, uprowadzane zazwyczaj spod opieki artystów b. grupy „Zamek", dywagujących mimochodem w Klubie MPiK lub w „Norze". Turystów również fascynowała egzotyczna uroda miejsca, reklamowanego jako jedyny autentyczny zespół staromiejski w Polsce. A zakwaterować by ich w budynku przy Grodzkiej 3! Szybko wyzbyliby się estetycznych egzaltacji.

W połowie dekady stało się jasne, że tylko szybkie i kompleksowe działanie konserwatorsko-budowlane jest w stanie uratować Stare Miasto. Nikt wówczas w Polsce nie dysponował odrobiną doświadczenia w tak złożonej kwestii, można nawet zaryzykować twierdzenie, że był to problem nie ruszany dotąd w całej Europie. Te okoliczności oraz znaczenie kulturowe zespołu i skala ekonomiczna ewentualnego przedsięwzięcia skłoniły animatorów sprawy do ogłoszenia publicznej dyskusji na temat losów Starego Miasta. Zainicjował ją artykuł „Stylowy salon czy rezerwat patyny?", autoryzowany przez Mieczysława Kurzątkowskiego, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, ogłoszony 20 lutego 1966 roku w „Kurierze Lubelskim". Okazało się, że publikacja trafiła w czułe miejsce opinii publicznej, w dyskusji na łamach pisma wzięli udział dziennikarze, historycy, historycy sztuki, krajoznawcy, plastycy, geografowie, architekci... Mniej więcej równolegle ówczesny przewodniczący Prezydium MRN powołał ośmioosobowy Zespół do Spraw Odnowy Starego Miasta w Lublinie. Była to niewątpliwie grupa fachowa, dokładnie zorientowana w problematyce, szczęśliwie łącząca racjonalne myślenie z emocjonalnym stosunkiem do zabytkowego obiektu. Pracowała do maja 1970 roku, formułując ostatecznie projekt I etapu renowacji Starego Miasta. Otrzymaliśmy elaborat tyle obszerny, co rzetelny, który kwestię ratowania zabytkowego układu wyprowadzał z rejonów partyzanckich na płaszczyznę metodycznie zorganizowanego działania. Już wtedy rozdzielono też główne role: inwestorską przydzielając Miejskiemu Zarządowi Budynków Mieszkalnych, projektanta dokumentacji i częściowo wykonawcy — Pracowniom Konserwacji Zabytków, Oddział Lublin.

Wypadki toczyły się szybko, przypominając pogodny sen szczęśliwego dziecka. We wrześniu — mocą nieco wcześniejszej uchwały Prezydium MRN — przy MZBM powstała specjalna komórka do spraw renowacji Starego Miasta, której kierownictwo powierzono inżynierowi St. Karasiowi; w sumie skupiała ona trzech inżynierów budowlanych, jeden z nich posiadał dodatkowo dyplom historyka sztuki. 28 września zjawili się w Lublinie ministrowie Kultury i Sztuki oraz Gospodarki Komunalnej, aby rozważyć z gospodarzami miasta i województwa zasadnicze kwestie renowacji. Projekt wspomnianego Zespołu trafił im do przekonania, wypadało już tylko brać się do roboty. Zatem z miejsca MZBM skierował do PKZ kilka zleceń na opracowanie pełnej dokumentacji wybranych obiektów. Jak widać udziałowcy przedsięwzięcia demonstrowali znaczną energię, wszyscy bez mała popadli w stan głębokiego optymizmu.

Nikt nam nie dorówna w programowaniu, planowaniu, projektowaniu. W tej mierze przypominamy wieżę z Kości Słoniowej. Okazuje się przecież, że z tej wysokości niechętnie schodzi się na ziemię, a jeśli nawet, to pokracznie jakoś po niej łazimy. Bo oto, kiedy przyszło do realizacji zamierzeń, zdecydowanie sensownych, sprawa zaczęła padać na twarz, a cegły jeszcze niżej. W takiej sytuacji dobrze czuje się tylko nadwiślański zwierz narodowy o nazwie „Nie bądź taki mądry"; wychylił się wtedy, maszkara, z nory.

MZBM skierował zlecenia do PKZ, także na wykonanie pełnej dokumentacji, aż do projektu techniczno-roboczego. Adresat przyjmował to i owo, część odrzucał, w niektórych wypadkach zacinał się w milczeniu. W pewnym stopniu usprawiedliwiał go fakt mizernych mocy, jakimi dysponował, które na dodatek musiał angażować na podlegającej mu Rzeszowszczyźnie. Mówiło się co prawda wcześniej o konieczności wzmocnienia przedsiębiorstwa, ale były to pogaduszki bez realnych skutków. Zachodzi jednak podejrzenie, że PKZ już wtedy zaczęło brakować mocy moralnej.

Na początku lutego 1972 roku zaczęła trzeszczeć niebezpiecznie oficyna kamienicy przy ul. Grodzkiej 3. Alarmując PKZ, Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych prosi o udział w komisji, która ma ustalić, co robić z tym fantem. Sprawa jasna: należy wykwaterować lokatorów i zabezpieczyć obiekt. Inwestor zleca PKZ wykonanie projektu zabezpieczenia całego obiektu i wyprowadza mieszkańców z zagrożonego budynku. Adresat wyraża zgodę, ale domaga się jakieś brakującej dokumentacji. „Już przesłaliśmy". Oficynę podparto stemplami. W maju obie strony dochodzą do wniosku, że budynek grozi katastrofą, wymaga interwencji budowlanych. Kilka dni później inwestor zleca PKZ wykonawstwo plus nadzór autorski. Dwa tygodnie później dyrektor M. Król akceptuje zlecenie. Pół roku p ó ź n i e j zostaje podpisana umowa, ustalająca finalizację robót na 30 maja 1973 r. W połowie owego miesiąca PKZ proszą o przedłużenie terminu do 15 lipca; dokument jest niepodpisany. Rychło potem do inwestra trafia kolejne pismo, już sygnowane, w którym wykonawca przesuwa zakończenie robót na 15 października 1972 r. MZBM wyraża zgodę. Pół roku po ustalonym terminie (październikowym) PKZ kierują do MZBM porozumienie dodatkowe w sprawie kolejnej prolongaty. Inwestor odmawia i wyraża zaniepokojenie przedłużaniem się roboty, która zgodnie z u-

Praha po czesku

Maciej Podgórski

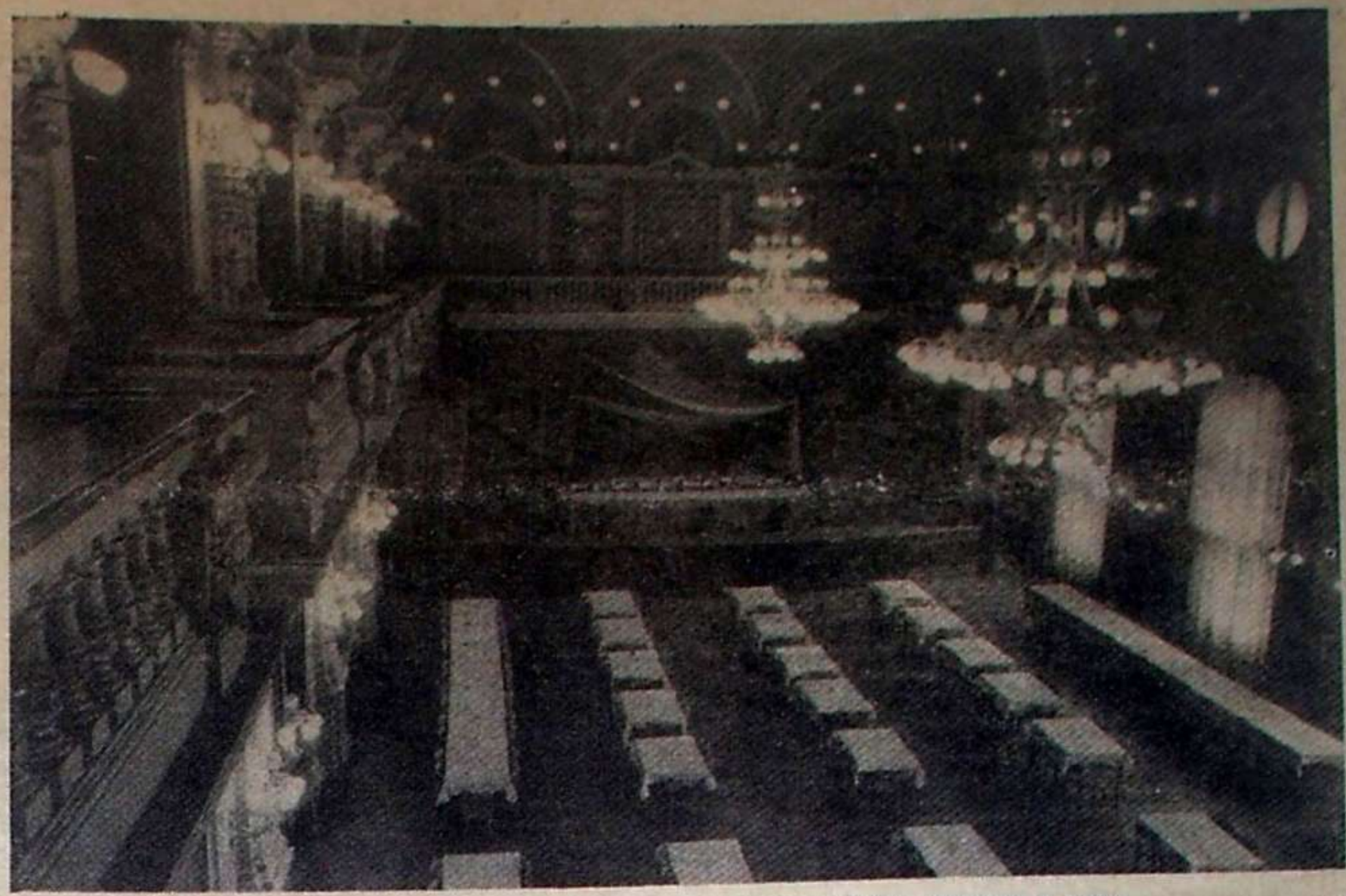

Sala im. Majakowskiego w Związkowym Domu Kultury Kolejarza w Pradze. Fot. E. Uher

JEŚLIBY szło o architektoniczne smaki i liryczne nastroje, to Praga, która z ostatniej wojny wyszła mało co zniszczona, przyciąga swoją dawnością, nawet tą stosunkowo... niedawną, secesyjną. Bo dawność dzisiaj w modzie, a już szczególnie ta secesyjna. Wprawdzie śródmieście, głównie Plac Wacława i okolice, zasłonięte siatką rusztowań oraz tu i ówdzie rozkopane jesienią tego roku, gdyż buduje się metro, którego jeden odcinek już funkcjonuje. Ale za rusztowaniami otwiera się cały światek, gdzie mnóstwo kafejek, barów, restauracji, piwiarni, sklepów najrozmaitszych, kabaretów, kin, sal tanecznych... Każda niemal brama kryje te tasiemcowe konsumpcyjne radości, mieszczące się w starych kamienicach, pod sklepieniami starych kilometrowych pasaży.

O jednym pomyśle gastronomicznym słów kilka. Parę lat temu wiele pomieszczeń w Pradze zaadaptowano na tzw. grill-bary. Stosunkowo niewielkie lokale, gdzie klient usadawia się z jednej strony niskiej lady, z drugiej zaś strony operują kelnerzy (sprzedawcy?). Wokół Pragi są duże hodowle kurcząt i w grillach tego towaru mnóstwo, ale nie tylko. W śródmieściu grill-bary są niemal wszędzie, czynne od rana do nocy, służą wszystkim i można w nich dostać niemal wszystko do jedzenia i picia: tatar skrobany, sandwicze, sery, zakąski, dania barowe i obiadowe, piwo, wino, wódkę, tonic, kawę, herbatę... Niektórzy klienci są, widać, stali. Znają kelnerów, rozmawiają z nimi; lecz specjalnie nikt tu nikim nie interesuje. Oto w kącie jakaś parka liżąca się od dobrych kilkunastu minut, obok dwaj żołnierze obojętnie medytują nad szklaneczkami czerwonego wytrawnego po 5 koron, naprzeciwko jakiś chyba urzędnik jedzący pospiesznie kolację.

Zresztą zjeść można nawet w zwyczajnym sklepie spożywczym, gdzie z reguły stoi lada konsumpcyjna czy stolik i cieszy podniebienie kilka rodzajów sałatek. Tak samo napić się piwa, zawsze zimnego (najpopularniejsze — „Plzeňský Prazdroj"; 3,60, kčs spora butla). Bo Czesi zjeść lubią i potrafią, może czasem za tłusto, więc ratują się piwem właśnie i rozmaitością pikantnych przypraw oraz sosów. A kiedy już noc głucha i wszystkie sklepy spożywcze zamknięte, zawsze można się pokrzepić w kioskach z parówkami. Mówiono mi, że prażanie po pracy lubią siedzieć w domu, ale chyba nie tylko, gdyż po 19-ej niezliczone bary, restauracje i kabarety nie płaczą z powodu braku chętnych i Praga nie wymiera nocą, choć gaśnie sporo wystaw i latarń ulicznych (podobno oszczędności energetyczne).

W starej, zabytkowej Pradze (bo jest jeszcze i Praga nowoczesnych bloków, o czym później) zwiedzałem Związkowy Dom Kultury Kolejarza, raczej re-

Dokończenie na str. 13

mową miała rozpocząć się w grudniu 1972 roku. A my, proszę państwa, mamy wiosnę 1974 roku. Prawdę mówiąc, mamy już pewne pojęcie o renowacji, ale nie mamy przedmiotu korespondencji, czyli owej oficyny. Zawaliła się po prostu. Oto tekst pisma skierowanego do Miejskiego Konserwatora Zabytków w Lublinie przez inżyniera Zenona Padewskiego, zastępcę dyrektora d/s technicznych MZBM, które relacjonuje historię:

Informujemy, *że pozostawienie na okres zimy niezabezpieczonych sklepień parteru oficyny kamienicy Grodzka 3 spowodowało zawalenie się sklepień we wszystkich pomieszczeniach parteru. Oficyna ta łącznie z kamienicą frontową stanowi zabytek grupy 3, a znajdujące się w stosunkowo dobrym stanie sklepienia parteru oficyny miały być zachowane zgodnie z wnioskami konserwatorskimi opracowanymi w dokumentacji naukowo-historycznej* (wykonanej przez PKZ — uw. aut.). *Dlatego też w dniu 14 listopada 73 r. komisja w składzie: z-ca dyr. MZBM Z. Padewski, z-ca dyr. PP PKZ J. Matyjaszczyk, Miejski Konserwator Zabytków J. Janiukowa, główny projektant J. Jamiołkowska, T. Augustynek oraz kierownik budowy L. Rodziński podjęła ustalenia o zachowaniu w pierwotnym stanie parteru oficyny i wykonanie odpowiednich zabezpieczeń, chroniących sklepienie przed zniszczeniem w okresie zimy.* Chodziło o postawienie daszków, zatrzymujących wodę i śnieg — takie przynajmniej rozwiązanie proponował inż. St. Karaś, wpisując odpowiednią uwagę do dziennika budowy. Daszków nie postawiono, dziennik budowy zginął.

Sprawę oficyny mógłby rozsądzić tylko jasnowidz warszawskiej „Literatury", albowiem wszystkie racjonalne metody poznania wobec niej zawodzą. Możemy tylko zapytać: co się dzieje, gdzie my żyjemy?! Pełni dobrej woli zakładamy przecież, że był to przypadek incydentalny i z piekła rodem. W takim nastroju kierujemy uwagę na samą kamienicę przy Grodzkiej 3, ciekawi, jak w tym wczesnym okresie renowacji PKZ troszczą się o badania naukowe.

Zgodnie z informacjami prasowymi sprzed bodaj dwóch lat, obiekt ten dostarczył sporo satysfakcji historykom sztuki. W tak zwanej izbie wielkiej odkryto strop drewniany o profilowanych belkach, na dodatek pokrytych ornamentem. Zdumionym pracownikom PKZ ukazała się ponadto polichromia z początku XVII w., dwa fryzy, nałożone na siebie, oraz geometryczno-roślinne dekoracje. Tak zdobionej izby wielkiej nie znano dotąd w Lublinie. Niestety, fragment polichromii został nieźle uszkodzony przez... badania architektoniczne, prowadzone przez pracowników odpowiedniej pracowni PKZ, którzy weszli do obiektu przed historykami sztuki, choć powinno być odwrotnie. Po tych znakomitych odkryciach przedsiębiorstwo wycofało się z kamienicy i od tego momentu izba wielka zaczęła pełnić funkcję bordelu oraz pijackiej speluny dla „elementów". Piją sobie chłopaczkowie, a w wolnych chwilach oddają się refleksji estetycznej nad pięknym stropem, który miał być rozebrany i przeniesiony w celach konserwacyjnych do Jarosławia, lecz nie został.

Z kwestią zabezpieczenia wartości, które się odkryło, spotykamy się po raz drugi — w kamienicy przy Grodzkiej 1. Otóż podczas badań sondażowych prowadzonych dwa lata temu na elewacji tego budynku dostukano się do ciekawej polichromii nadokiennej z 1670 roku. Fachowcy twierdzą, że jest to jedyne tego typu malowidło w Lublinie; nam wystarcza uroda tej dekoracji. Badania zakończono, rusztowania rozebrano, odkrytych fragmentów nie zabezpieczono. W rezultacie wysypuje się ziarno wypełniacza, warstwa malarska odrywa się od podłoża, woda skutecznie atakuje anonimowe dzieło. Jedna zima przeszła, druga się zbliża, z nią zaś urealnia się całkowite zniszczenie polichromii. A wystarczyło przecież dać kilka zastrzyków, aby zakryć ją na powrót tynkiem „konserwatorskim" — to zupełnie dobre zabezpieczenie. „Istnieje za długi dystans między badaniami a wykonawstwem, nie honoruje się zasady doraźnego zabezpieczania odkryć. Dlaczego? Bo w PKZ liczy się przerób, czyli mamona" — powiedziała pewna pani, od dawna pracująca w przedsiębiorstwie.

Charakterystyczne, że sprawa Grodzkiej 1 również posiada obfitą korespondencję, której istota tym różni się od cytowanej przy okazji oficyny, że wprowadza całkowity chaos w zdroworozsądkowy model świata. Oto 25 października 1973 roku MZBM, kierując się własnym rozpoznaniem sprawy, zlecił PKZ zabezpieczenie polichromii. Tymczasem 2 listopada (!) otrzymał takie pismo, sygnowane przez inż. Henryka Gawareckiego, zast. dyr. do spraw naukowo-konserwatorskich PKZ: w związku z odkryciem barokowych malowideł *o dużej wartości historycznej i artystycznej... prosimy o przekazanie zlecenia na prace zabezpieczające...* Dokument posiada liczbę dziennika NK-I/6304/73, lecz zamiast konkretnej daty widnieje na nim *październik 1973.*

Dobrze, drobne nieporozumienie, którym żongluję brukowo. Ale co zrobić z faktem, że umowę na wykonanie tych prac PKZ zawarły dopiero 15 października 1974 roku — tylko pod presją MZBM? A zrealizowały ją w połowie listopada, choć zobowiązały się zakończyć roboty 30 października 1974 roku! Odkrycie polichromii zapisały na własne konto, jej zabezpieczenie to pestka techniczna — wobec takich okoliczności postępowanie PKZ wypada uznać za wysoce niezrozumiałe. Właśnie takie, albowiem mamy do czynienia z przedsiębiorstwem powołanym do ratowania zabytków. A jeśli odgórnie zaprogramowano je dla innych celów, niech to zostanie ogłoszone publicznie. Po co mamy niszczyć sobie wzajem nerwy i ulegać złudzeniom.

Rezultatem owego męczącego ping-ponga, który rozpoczął się gdzieś w 1971 roku, okazało się rosnące napięcie między inwestorem a wykonawcą, przekształcające się miejscami w coś w rodzaju zakulisowej pyskówki. A w takiej zabawie pogrążają się nawet autentyczne autorytety. Postaram się to zilustrować w kolejnej publikacji.

Ireneusz J. Kamiński

Wieże Lublina Fot. S. Kosior

Cieszące się z jubileuszu

Maria Bechczyc-Radnicka

W N-RZE 1 br. zamieściła „Kamena", z okazji zainaugurowania przez Lubelszczyznę warszawskiej „Panoramy województw", artykuł pt. „Sentymentalnie i... trzeźwo". Był to kolejny mój przegląd osiągnięć powojennego lubelskiego teatru dramatycznego, odpowiednio zaktualizowany i zakończony życzeniem, by teatr ten miał w najbliższym czasie takie tłumy przyjaciół, jakimi mógł się poszczycić w pierwszych latach po wyzwoleniu.

Zrelacjonowałam następnie szczegółowo uczestniczenie Teatru im. J. Osterwy dwoma specjalnymi premierami w kulminacyjnych lipcowych obchodach XXX-lecia Polski Ludowej. A oto na przełomie listopada i grudnia powstaje nowy fakt historyczny wymagający odnotowania: jubileusz 30-lecia samego teatru, który był przecież w sierpniu 44 roku pierwszym teatrem odrodzonej Polski i pierwszym stałym teatrem Lublina.

Piszę te słowa przed jubileuszem, ukażą się w druku już po nim, taki jest cykl produkcyjny dwutygodnika. Za późno byłoby teraz zapowiadać przebieg uroczystości, za późno je specjalnie opisywać w następnym numerze. Odezwą się w nim jednak może słabnącym echem przy omówieniu oficjalnej premiery „Dożywocia", włączonej do programu jubileuszowego. Zresztą może „rozbije się bania" ze wspomnieniami, bo zostały też zaprogramowane kilkakrotne spotkania koleżeńskie aktorów, a wielu z nich i to wybitnych przyczyniło się do wzbogacenia dorobku artystycznego lubelskiej sceny dramatycznej.

Teraz, składając jeszcze raz Teatrowi im. J. Osterwy jak najserdeczniejsze życzenia nieustającej prosperity, co chyba zawsze jest na czasie, proponuję rzut oka na spektakl „Krakowiaków i Górali czyli Zabobonu", Jana Nepomucena Kamińskiego. Przedstawienie to, również przewidziane w programie jubileuszu, lecz cieszące się powodzeniem już od końca października, miałam możność zobaczyć po moim powrocie z zagranicznej podróży „teatralnej".

Wiadomo od dawna, iż „zabawka dramatyczna w III Aktach ze śpiewkami", która wyszła spod pióra zasłużonego dla kultury polskiej dyrektora teatru lwowskiego, jest przeróbką „Krakowiaków i Górali" Wojciecha Bogusławskiego (nawiasem mówiąc, „posiadam" w swym księgozbiorze jej egzemplarz z r. 1897 wydany „drukiem i nakładem" Dyniewicza w Chicago). Oczywiście historycy literatury przeanalizowali na wskroś obydwie wersje scenicznego zatargu krakowiaków z góralami, nie mam tedy potrzeby bawić się w analogie bądź zgłębiać rozsianych tu i ówdzie aluzyjek do kłopotów onego czasu. Nikt nie wątpi, iż problemy obydwu „śpiewogier", niegdyś krzepiące ducha, do dziś jednako zwietrzały. Wystawia się przecie jeszcze te szacowne ramotki chętnie dla zaprezentowania pysznego rodzimego folkloru — tańców, śpiewu, strojów ludowych. Owe to śliczności, wsparte swojską melodyjną muzyką Kurpińskiego czy Stefaniego, przyciągają jak magnes masowego widza, zasilając poważnie niektóre chude dzisiaj kasy teatralne. I szczęść im Boże — godziwszy to wielekroć sposób od włączania do repertuaru adaptacji „Trędowatej". Myślę, iż wolej by „Krakowiaków" było wieźć niedawno temu do Kanady. Są w jakimś sensie pozycją reprezentacyjną, mogą stanowić jeden z najchodliwszych eksportowych artykułów artystycznych per analogiam z „Mazowszem", „Śląskiem" i innymi zespołami chóralno-tanecznymi. Nic, tylko utworzyć specjalny zespół objazdowy dla „Krakowiaków" i dodać do programu libretko w trzech językach obcych.

Dziesięć lat temu, to znaczy na XX-lecie Polski Ludowej — tudzież w 170 rocznicę prapremiery — wystawiła Państwowa Operetka w Lublinie „Krakowiaków i Górali" Bogusławskiego (w świetnej inscenizacji Bronisława Dąbrowskiego i oprawie scenicznej Adama Kiliana). Prawdopodobnie wzgląd na tę okoliczność sugerował obecnie kierownictwu Teatru im. Osterwy wybór rzadziej granej adaptacji J. N. Kamińskiego. Osobiście wolę oryginał Wojciecha Bogusławskiego, choćby dla kapitalnych figlów z „elektryką", o których Kamiński tylko niewyraźnie napomknął, bazując natomiast bardziej banalnie cały „zabobon" wyśmianych postaci na popularnych legendach o smoku.

Inscenizację „Zabobonu" Kamińskiego, przeznaczoną na uświetnienie jubileuszu 30-lecia lubelskiego powojennego teatru dramatycznego, zawdzięczamy wybitnemu reżyserowi, Jerzemu Rakowieckiemu, którego Lublin zna z prezentacji na tutejszej scenie „Sułkowskiego", „Cyda" Corneille'a-Wyspiańskiego oraz jednej z najlepszych sztuk O'Neilla „Księżyc świeci nieszczęśliwym" (niezapomniane postacie stworzone przez Danutę Nagórną, Aleksandra Aleksego, Henryka Bistę!). Jak informuje drukowany komentarz do spektaklu, J. Rakowiecki reżyserował już śpiewogrę Kamińskiego dwukrotnie: w Operetce Warszawskiej i w Katowickim Teatrze im. St. Wyspiańskiego.

Jan Nepomucen Kamiński — Krakowiacy i Górale czyli Zabobon. Na zdjęciu w skoku Stanisław Jaskułka w roli Bryndusa.

Fot. CAF

Tekst „Zabobonu" nie należy do lektur rozrywkowych, niemniej zbożnie przeczytałam mój zgrzybiały egzemplarz chicagowski w zestawieniu z maszynopisem teatralnym, uprzejmie mi pożyczonym przez asystenta reżysera, Romana Kruczkowskiego. Próżny wysiłek. Nie udało mi się stwierdzić żadnej zdrady, którą mogłam węszyć zmysłem śledczym recenzenta podczas przedstawienia, boć śpiew chóralny zaciera niejedno słowo. Jerzy Rakowiecki zachował idealną wierność słowu autora. Takie są jego obyczaje, dość rzadkie w naszych kreacjonistycznych czasach teatralnych. Ot, uświęcone tradycją usuwanie dłużyzn i tyle. Zaprzysiężona przyjaciółka wierności autorskim walorom słownym, możebym w danym wypadku nawet zrobiła reżyserowi z tych skrupułów zarzut, gdyby nie potrafił, jak Jerzy Rakowiecki, haftować na mizernym tekście, niczym na kanwie, pomysłami inscenizacyjnymi, czyli przemawiać do widza właściwym językiem twórczym inscenizatora.

Spektakl został świadomie przechylony w większości pasusów ku grotesce i to mu wyszło na dobre. Bawi wystylizowaniem pod płaski humor jarmarczny. Tedy i naiwne morały przełyka się gładko (kto wie skądinąd, czy nie należałoby ich cokolwiek zaostrzyć ku dzisiejszemu pożytkowi społecznemu?).

Gdy mowa o pomysłach, weźmy na przykład, taką kłódkę z aktu II. Cóż kłódka? Niby drobiazg, figuruje zresztą w tekście autorskim, lecz trzeba było trochę inwencji, by nadać jej nie przewidzianą przez autora wielkość „surrealistyczną" w stosunku do ledwo trzymających się kupy drzwiczek od „smoczej jamy". Ale naturalnie nie będziemy się gubić w szczegółach, chodziło tylko o egzemplifikację na dowód starannego przemyślenia spektaklu aż do jakiegoś tam kilkusetnego rekwizytu włącznie. Najszczęśliwszym zaś, wstępnym „pomysłem" Rakowieckiego było niewątpliwie dobranie sobie znakomitych współtwórców w osobach: scenografa Krystyny Horeckiej i choreografa Eugeniusza Paplińskiego. Dekoracje Horeckiej są, że tak powiem, „artystycznie paseistyczne", ustawione na linii dzisiejszych modernizacyjnych aspiracji operetkowych. Uroczo spełniał zadanie zwłaszcza las w drugim akcie. Odpowiednio jaskrawe efekty wydobyto też ze światła. Kostiumom nic nie można zarzucić.

Eugeniusz Papliński, ze swej strony, skomponował wiele grup „uderzeniowo"-plastycznych, co należy poczytać za niemały sukces, gdy się weźmie pod uwagę raczej skromne wyrobienie „baletowe" aktorów dramatycznych. Nie stawiano więc, rzecz jasna, na popisy solowe, atoli Bryndus, Jonek, Dorota, Zosia, a nawet Miechodmuch tańczyli z niemałą fantazją.

Kierownictwo muzyczne (Marian Chyżyński) miało do dyspozycji wiekową, lecz miłą polskiemu uchu muzykę instrumentalną i wokalną Kurpińskiego (który chyba przez przeoczenie nie został wymieniony w spisie twórców). Przy muzyce wokalnej były do przewidzenia w zespole dramatycznym trudności jeszcze większe niż przy tańcu. Udatnym więc okazało się pomysłem wzmocnienie śpiewów chóralnych nagraniami Chóru Akademickiego UMCS pod kierownictwem Jadwigi Czerwińskiej.

I wreszcie wypada wymienić wszystkich aktorów, bo walnie przyczynili się do wyposażenia „Zabobonu" Kamińskiego w humor wywołujący na widowni salwy śmiechu. Oto nazwiska: Roman Kruczkowski (administrator, Pan Pysznicki), Tytus Wilski (Ekonom), Ludwik Paczyński (młynarz Bartłomiej), Barbara Wronowska (Dorota, jego żona), Jadwiga Jarmuł i Anna Świetlicka (grające na zmianę pasierbicę Doroty, Basię — ja widziałam i słyszałam Świetlicką), Barbara Koziarska (przyjaciółka Basi, Zosia), Stanisław Stojko (furman Wawrzyniec), Henryk Sobiechart (jego syn, Stach), Piotr Suchora (przyjaciel Stacha, Jonek), Włodzimierz Wiszniewski (organista Miechodmuch), Edwin Petrykat (student Bardos), Stanisław Jaskułka (przywódca górali Bryndus), Kazimierz Siedlecki, Ryszard Palczyński, Waldemar Starczyński (inni górale), Elżbieta Skrętkowska (jedna z krakowianek). Najlepszymi katalizatorami humoru byli: Piotr Suchora i Włodzimierz Wiszniewski, z pań — dwie Barbary Koziarska i Wronowska. Zresztą stokrotne bra[illegible] wszystkich aktorów Teatru [illegible]!

Wręcz znakomitą po[illegible]entycznego, zadzierżystego, „te[illegible]entnego" górala stworzył Stanis[illegible]skułka. I głos mu dopisywał, i harce Jaskułka wyczyniał zuchwałe, jakby przed chwilą naprawdę zszedł z wierchu tatrzańskiego!

Summa summarum — sympatyczne widowisko, w intencji i realizacji. Iście jubileuszowe.

Jeszcze o Fredrze

CIEKAWE i wnikliwe studium o Fredrze pt. „Zgaszony płomień" umieściła dr Stefania Kratochwil-Kostrzewska w t. II zbiorowych prac „Z dziejów kultury i literatury ziemi przemyskiej". Książka ukazała się w druku we wrześniu br. z okazji trzydziestolecia Polski Ludowej.

Kamena str. 10

W wymienionym studium autorka rozpatruje bolesną sprawę zaprzestania przez Fredrę pracy twórczej po roku 1842, kiedy to po wcześniejszych nieprzychylnych dla Fredry krytykach Goszczyńskiego i Pola ukazała się napastliwa i niesprawiedliwa ocena jego całej twórczości dokonana anonimowo przez Leszka Dunin-Borkowskiego i opublikowana w „Poznańskim Tygodniku Literackim" w art. pt. „Uwagi ogólne nad literaturą w Galicji" (r. 1842).

Dotknięty do żywego tą niesprawiedliwą krytyką Fredro złamał pióro na lat kilkanaście. A trzeba wiedzieć, że wtedy był już autorem szeregu komedii, które potem uznano za arcydzieła i które weszły na stałe do repertuaru teatrów polskich. Były między nimi „Śluby panieńskie", „Zemsta", „Pan Jowialski", „Pan Geldhab", „Damy i huzary".

Drugi okres twórczości Fredry przypada dopiero na lata sześćdziesiąte-siedemdziesiąte ub. wieku w którym to okresie Fredro pisze swój pamiętnik „Trzy po trzy". Na wspomnieniach zaczerpniętych z tego pamiętnika w przeważającej części oparła autorka swoje studium.

Mało kto pamięta i wie, że Fredro, związany blisko przez miejsce swego urodzenia w Surochowie i przez swe dzieciństwo spędzone w Nienadowej z ziemią przemyską, miał również związki z Lubelszczyzną i Lublinem.

Fredro wstępuje do wojska polskiego w Księstwie Warszawskim w r. 1809. Otrzymuje nominację na podporucznika 11 pułku ułanów. Pułk ten stacjonował w Tyszowcach koło Zamościa.

Autorka podaje: „Tam w obozowym życiu, wśród nowych, ciekawych ludzi nieraz dziwnych lub śmiesznych, zaczyna się ten okres życia, który wyrzeźbi charakter przyszłego pisarza w niespodziewanych okolicznościach wojennych od żołnierskiego żartu, do tańca ze śmiercią". „...W czasie postojów w Tyszowcach, Krasnymstawie, w Chełmie" Fredro pisał wiersze związane z życiem obozowym, pełne fantazji i dowcipów nieraz mocnych na temat kolegów czy przełożonych".

Gdy 11 pułk ułanów został przeniesiony do Lublina Fredro, jak podaje autorka, przeżył „najszczęśliwszy w swej karierze wojskowej okres. Bywał bowiem w domu generała Ludwika Kamienieckiego, który miał dwie piękne pasierbice Anielę i Pelagię Trembickie. I oto Aniela, prototyp Anieli ze „Ślubów panieńskich", jak Pelagia Klary, stała się tym magnesem, który sprawił, że wszystkie wolne wieczory — to wizyty u Kamienieckich. Były to dzieki Anieli najpiękniejsze miesiące dla Fredry".

Antoni Madej

Jerzy Gajdziński

Prawie makabreska

MILION W TOTO-LOTKA

NA prośbę byłego poety i byłego dziennikarza, Adama Baptysty Apsnykiewicza, motywowaną względami prewencji ogólnej, przepisuję z taśmy magnetofonowej jego spowiedź i przesyłam ją do druku. Oto, co wyznał ten nieszczęśnik:

Publicznie przyznaję się do winy. Jestem oszustem. Oszukałem bowiem mego sąsiada, redaktora Alfonsa Jołopkiewicza, że wygrałem milion złotych w Toto-Lotka. Niestety, nie przewidziałem skutków tego występku...

A jak to się wszystko stało, opowiem.

Była niedziela i kilka minut po godzinie osiemnastej. Przed chwilą Polskie Radio nadało komunikat o wynikach kolejnego losowania sześciu szczęśliwych numerów dyscyplin sportowych w zakładach Toto-Lotka. Niestety, było to także moje kolejne rozczarowanie. Od początku istnienia tej gry ani razu nie wytypowałem prawidłowo nawet trzech liczb. A tak marzyłem o milionie! Proszę jednak nie podejrzewać, iż motorem tego marzenia była przyziemna chęć życia w luksusie! Siłą napędową popychającą mnie do hazardu stała się natrętna myśl, którą można streścić w jednym zdaniu opatrzonym znakiem zapytania: „Czy żyłbym nadal w skrajnej samotności, gdybym stał się milionerem?"

Muszę także w paru słowach wyjaśnić rodowód tego natręctwa myślowego. Otóż piętnaście lat temu wydarzyła się na Pacyfiku katastrofa samolotu „Boeing 74", należącego do Japońskich Linii Lotniczych JAL. Z katastrofy tej wyszedłem wprawdzie z życiem, ale za to z gruntownie połamanymi kościami i z wieloma urazami najważniejszych organów wewnętrznych. Po tym wypadku liczna dotąd gromada przyjaciół i przyjaciółek szybko zapomniała o sympatycznym dawniej młodzieńcu (to znaczy o mnie), który słynął z gościnności i towarzyskości i o którym mówiono częściowo z zachwytem, a częściowo z zawiścią: „Ten zrobi w życiu karierę!"

I rzeczywiście zanosiło się na to. Redakcje pism literackich hurtowo zamawiały u mnie wiersze, a redaktorzy naczelni dzienników zlecali mi reportaże na najbardziej atrakcyjne tematy krajowe i zagraniczne. Właśnie katastrofa lotnicza na Pacyfiku przerwała niespodzianie moją podróż do Australii, skąd miałem przywieźć do kraju cykl reportaży o dziwach tego kontynentu. Gdy skończyła się moja wędrówka po szpitalach, upodobniłem się do żeglarza rozbitka, wyrzuconego przez wzburzone fale na bezludną wyspę. Żona odeszła ode mnie jeszcze wtedy, gdy leżałem w łóżku szpitalnym, oblepiony od stóp do głowy gipsem. Przywłaszczyła sobie przy okazji pokaźne odszkodowanie przyznane mi przez japońskie i międzynarodowe towarzystwa ubezpieczeniowe, nie wspominając na razie innych „świń", które podrzuciła pod moje nogi. Koledzy dziennikarze i poeci, owszem, początkowo witali się ze mną podczas przypadkowych spotkań z maskowaną współczuciem satysfakcją, ale potem widząc mnie, przechodzili na drugą stronę ulicy lub pospiesznie kryli się w najbliższej bramie. Wypadałoby przecież takiego nieszczęśliwca zaprosić od czasu do czasu na wódkę lub kawę, a czym się on odwdzięczy? Żadnej możliwości protegowania już nie ma, a jego renta inwalidzka ledwo mu na życie wystarcza. Redakcje zaczęły mnie traktować jak natręta.

Na takim właśnie podłożu faktów zagnieździło się we mnie natrętne pytanie: „Jakim zmianom ulegnie stosunek środowiska ludzkiego do mnie, gdy stanę się bogaczem?"

Niestety, nie dopisywało mi szczęście w Toto-Lotku. I właśnie w ową niedzielę wpadł mi do pocerowanej głowy pomysł oszustwa. Nie zwlekając, położyłem przed sobą na stole czysty kupon Toto-Lotka i skrupulatnie począłem skreślać w poszczególnych klatkach po sześć numerów dyscyplin sportowych. W trzeciej z kolei klatce „wytypowałem" szczęśliwe liczby, podane przed chwilą przez spikera radiowego. Następnie oderwałem od starego kuponu banderolę i nakleiłem ją na kupon tylko co wypełniony. Jeszcze drobny retusz zaślinionym ołówkiem chemicznym pieczątki kolektury Toto-Lotka i narzędzie oszustwa było gotowe.

Przez zwykłe asekuranctwo przed odpowiedzialnością za wprowadzenie w błąd bliźnich, postanowiłem oszukać tylko jedną osobę. Byłem przekonany, że jej reakcja na nagłą odmianę mojego losu będzie miarodajnym wykładnikiem zjawiska ogólnego i całkowicie wystarczy do uleczenia mego natręctwa myślowego. Na ofiarę eksperymentu wybrałem Jołopkiewicza. Mieszkał w tym samym bloku co ja, a ponadto była to wyjątkowej klasy świnia w ludzkim ciele. To właśnie dzięki mnie wybrał on zawód dziennikarza. Kiedyś zastępowałem w redakcji pewnej gazety spitego na umór kierownika działu reportaży i miałem wątpliwy zaszczyt rzucenia okiem zza biurka na interesanta mniej więcej w moim wieku, który pokornie wręczył mi 10-stronicowy maszynopis zatytułowany: „Relacja o wspaniałych osiągnięciach ekonomicznych hodowcy kur i kaczek Januarego Druteckiego, syna Alfreda, ze wsi Mikołajówka w powiecie lubartowskim województwa lubelskiego". Skróciłem tę relację do dziewięciu wierszy i wydrukowałem ją bez tytułu petitem w kronice rolniczej gazety. W ten sposób pomogłem Jołopkiewiczowi wstąpić na pierwszy szczebel kariery dziennikarskiej. Przed katastrofą kłaniał mi się z daleka, po katastrofie mijał mnie z wyniosłą pogardą.

Jołopkiewicz urządził się wspaniale w życiu, ale nie dzięki talentowi, lecz skrupulatnie przestrzeganej zasadzie: podlizywać się przełożonym i ustosunkowanym, pomiatać podwładnymi.

Ze sfałszowanym kuponem Toto-Lotka natychmiast udałem się z jedenastego piętra na trzecie i zadzwoniłem do drzwi oznaczonych mosiężną tabliczką z napisem: „Petronela i Alfons Jołopkiewiczowie".

Drzwi otworzył sam gospodarz. Bezceremonialnie wkroczyłem do przedpokoju. Od razu zorientowałem się, że Jołopkiewiczowie mają gości. Na mój widok twarz Alfonsa wydłużyła się.

— Czego? — zapytał.

Udałem skonfundowanego i zacząłem się jąkać. Przerwał mi brutalnie:

— Streszczaj się. Słyszysz przecież, że mam ważnych gości i nie zamierzam nawet przez pół minuty ich zaniedbywać.

— Przepraszam cię — jąkałem i poufaliłem się dalej — mam do ciebie wielką prośbę. Czy mógłbyś mi pożyczyć 30 złotych na pilny telegram?

Nie musiałem być telepatą, aby odczytać jego myśli. Były one wymalowane na twarzy mego rozmówcy. A myślał tak:

— Patrzcie ludy i podziwiajcie: były geniusz stoczył się już w bagno żebraniny. Ale ja mu zaraz dam nauczkę...

Z zaciśniętej prawej pięści Jołopkiewicza wystrzelił nagle ku podłodze wskazujący palec. Wiedziałem, że za moment cała ręka Alfonsa podniesie się, tworząc z tułowiem kąt prosty, a z ust padnie jedno słowo: won!

Ale uprzedziłem go. Wyciągnąłem z kieszeni sfałszowany kupon Toto-Lotka i miętosząc go niby z roztargnienia kontynuowałem jąkanie się:

— Popatrz, spadł na mnie nieoczekiwanie wielki sukces. Trafiłem szóstkę i zgodnie z regulaminem gry muszę zawiadomić dyrekcję Toto-Lotka o tym celnym strzale. A właśnie chwilowo (zaakcentowałem to słowo) jestem bez grosza przy duszy.

Twarz Jołopkiewicza jeszcze bardziej się wydłużyła, ale tym razem na skutek opadnięcia dolnej szczęki ze zdumienia. Nie mógł oderwać wzroku od trzeciej klatki kuponu. Byłem pewny, że w jego kretyńskiej łepetynie telepała się taka myśl:

— O, losie okrutny, i kogoż ty, i za co, tak szczodrze obdarowałeś?

Następnie Jołopkiewicz starannie wygładził pomiętoszony kupon, jakby to był jego własny czek na milion złotych i po dłuższym milczeniu powiedział:

— Proszę cię bardzo, wejdź do salonu. Jest tam śmietanka towarzystwa: dwóch redaktorów naczelnych, czterech krytyków literackich, jeden dyplomata zachodni i jeden dalekowschodni oraz kilka młodych i ładnych dziewcząt. Właśnie przed chwilą zamierzałem posłać po ciebie pomoc domową.

Instynkt samozachowawczy stanowczo zabronił mi skorzystać z tego zaproszenia, bo tam w salonie musiałbym powtórzyć swoje kłamstwo przed większym gronem osób. Wytłumaczyłem się:

— Widzisz, nie mam na sobie odpowiedniego ubrania, a poza tym jestem wstrząśnięty nagłą odmianą losu...

— Rozumiem, rozumiem — szeptał z obłudną czułością dorobkiewicz. Wcisnął mi do ręki tysiąc złotych oraz butelkę winiaku przyniesioną błyskawicznie z kredensu.

— Przyjmij to w prezencie — szeptał obleśnie — i pamiętaj, że drzwi mojego mieszkania zawsze stoją przed tobą otworem. Aha — dodał, kłamiąc bezczelnie — zapomniałem ci powiedzieć, że mija już tydzień... tak, tydzień, jak złożyłem w Ministerstwie Kultury i Sztuki wniosek o przyznanie ci stypendium twórczego.

Z trudem powstrzymywałem się od chichotu. Oczywiście, byłem pewny, że jeszcze dziś Jołopkiewicz napisze taki wniosek ze wsteczną datą i — pośle go czy nie pośle do Ministerstwa — ale odpis na pewno mi jutro pokaże.

Wróciwszy do swojego mieszkania, spaliłem kupon — narzędzie oszustwa i serdecznie się uśmiałem. Na pocztę poszedłem, ale jedynie po to, aby nadać na adres Jołopkiewicza tysiąc złotych plus równowartość pieniężną winiaku. Nie chciałem, aby on lub ktokolwiek inny mógł postawić mi zarzut, że czerpałem korzyści materialne z oszustwa. Winiak, oczywiście, wypiłem.

Nazajutrz obudziłem się rześki i wypoczęty, jakbym nie był nigdy inwalidą i jakbym nie wypił wczoraj pół litra alkoholu. Podśpiewując radośnie, chwyciłem kubeł ze śmieciami i wybiegłem na korytarz do zsypu, ale ujrzałem coś, co natychmiast powstrzymało moje kroki i zawróciło do mieszkania. Do zewnętrznej klamki w drzwiach przymocowany był kolorową wstążeczką wielki bukiet róż, w którym znalazłem pachnącą perfumami karteczkę z napisem: „Pomyślnego dnia życzy Panu wraz z mężem wielce oddana i życzliwa Petronela Jołopkiewiczowa". Zakląłem ordynarnie. Zaśmierdziało od pięknych kwiatów Judaszem Iskariotą. Do dziś przechowuję w szufladzie biurka inną, sprzed kilku lat, karteczkę Jołopkiewiczowej, w której pisała ona:

„Ponieważ mieszkańcy naszego bloku trudzą się w pocie czoła w fabrykach, urzędach i redakcjach lub przy realizowaniu obowiązków domowych i nie mają możliwości podjęcia czynu społecznego celem uporządkowania podwórza, wzywa się Obywatela Apsnykiewicza, jako człowieka nie pracującego, do poświęcenia kilku godzin dziennie na pracę społeczną przy doprowadzeniu w/w podwórza do stanu należytej funkcjonalności".

Czynu nie podjąłem. Od tamtego czasu Jołopkiewiczowa nie reagowała na moje ukłony, za to bez litości strzępiła swój jęzor na mojej skromnej osobie.

Ale teraz jesteśmy już na innym etapie. Wrzuciłem bukiet róż wraz z zawartością kubła do zsypu na śmieci.

W pół godziny później wybrałem się do sklepu po chleb i margarynę. Ledwo jednak wyszedłem z mieszkania, otworzyły się nagle wszystkie drzwi na korytarzu i usłyszałem wiele głosów:

— Dzień dobry panu!

— Rany boskie — pomyślałem — czyżby Jołopkiewiczowie rozpaplali już w całym bloku o mojej „wygranej"? Przecież od wielu lat nikt mi się pierwszy nie kłaniał!

Niestety, moje przypuszczenia znów się potwierdziły. Na niższej kondygnacji stała Jadzia Nastolanka i przeszyła mnie po raz pierwszy w życiu niezwykle powłóczystym spojrzeniem. Przyznaję się, pamięciowy wizerunek tej 19-letniej kobiety często zakłócał moje sny nocne i spokój dnia...

W sklepie ekspedientka zignorowała długą kolejkę i obsłużyła mnie priorytetowo. Zdziwiła się wielce, że nadal kupuję margarynę, a szeptem dodała, że dla wybranych klientów posiada pod ladą szynkę konserwową i że gotowa jest poczekać z pobraniem ode mnie zapłaty za sprawunki do „wiadomego" czasu, czyli — jak to już sam wykoncypowałem — do chwili wywiązania się przez dyrekcję Toto-Lotka z obowiązku przelania na moje konto miliona złotych. Wyszedłem ze sklepu z chlebem i margaryną oraz z roztrzęsionymi nerwami i z całym tym bagażem udałem się do ośrodka zdrowia po pastylki uspokajające. Ku mojemu zdziwieniu i tu obsłużono mnie bez kolejki.

Wracając do domu, zastanowiłem się nad skutecznością szeptanej propagandy. Przed domem obskoczyła mnie zgraja dzieciarni, dopytując się, czy mam jakieś słodycze. Jeszcze wczoraj ta sama dziatwa śpiewała na mój widok piosenkę zaczynającą się od słów: „Lotniku, lotniku, coś wylądował na szpitalnym nocniku..."

Zapytałem jednego przedszkolaka:

— Co się stało, że nie śpiewacie już pieśni o pilocie?

— Mama powiedziała — odrzekło dziecię — że trzeba teraz pana szanować i kochać, bo pan jest milionerem.

Zaniepokoił mnie mój własny udział w wypaczaniu osobowości cudzych dzieci. Gdybym wczoraj nie oszukał Jołopkiewicza, miałyby one o jedną lekcję obłudy mniej.

W windzie dopadła mnie Mordoczyńska z I piętra. Towarzyszyła mi aż na XI piętro. Powiedziała konfidencjonalnie:

— Bardzo dobrze pan zrobił, że wyrzucił róże Jołopkiewiczów do zsypu. To są, proszę pana, straszni ludzie. Niech się pan ich wystrzega. Oni jak nie wskórają podstępem, to wynajmą mordercę... Przepraszam — dodała nieoczekiwanie — czy mógłby mi pan zrobić wielki zaszczyt i zjeść dzisiaj obiad w gronie mojej rodziny? Poza tym zapraszam pana serdecznie na wszystkie święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, których dożyjemy. Nie mogę dopuścić, aby takie wielkie święta religijne i rodzinne spędzał pan w samotności.

Podziękowałem odmownie za zaproszenie i na trzęsących się nogach dotarłem do łóżka. Wziąłem podwójną porcję środków uspokajających i zasnąłem. Ale nie na długo. Obudził mnie łomot do drzwi.

Czyżby się coś paliło?

Nie, nic się nie paliło. To tylko złożył mi wizytę żebrak Dośnicki z odległego Wołomina. Osobnik ten wybudował już dla członków rodziny pięć willi w różnych podwarszawskich miejscowościach, sam jednak nadal mieszkał w drewnianym chlewiku

Dokończenie na str. 12

Dokończenie ze str. 11

coś niecoś przystosowanym do potrzeb człowieczych...

Dośnicki ukląkł na progu mego mieszkania i w żarliwej modlitwie własnej kompozycji (na pół śpiewanej) podziękował Panu Bogu za to, że raczył rzucić szczodrobliwym okiem na moją, Apsnykiewicza, posturę. Potem równie żarliwie błagał Stwórcę, abym ja, Apsnykiewicz, nie zasklepiał się jak ślimak w skorupie samolubstwa, lecz dobrodziejstwami losu podzielił się przede wszystkim z ludźmi ubogimi.

W takiej sytuacji nie wypadało mi odmówić jałmużny. Wyciągnąłem z kieszeni 2 złote.

Żebrak podniósł się z kolan i skamieniałymi ze zgrozy oczyma długo wpatrywał się w monetę. Potem powiedział jakimś zduszonym, pewnie ze wściekłości, głosem:

— To ja specjalnie biorę taksówkę i pędzę tutaj z Wołomina na łeb na szyję, płacąc podwójnie, żeby pierwszy podziękować Panu Bogu za pańskie przecież szczęście, a w zamian za to dostaję dwa złote? Tfu...

Splunąwszy na jałmużnę, cisnął mi ją pod nogi, po czym wzniósł oczy ku górze i wyszeptał pobożnie:

— Panie Boże Wszechmogący, odwróć swoje oblicze od tego człowieka i ześlij na niego plagi, którymi karciłeś niegdyś zatwardziałych w grzechach Egipcjan.

O, tego było już za wiele na moje nerwy! Nie zważając na to, że żebrak przemawiał do samego Stwórcy, obróciłem go twarzą do drzwi i kopniakiem w wiadome miejsce wykatapultowałem na korytarz.

Z korytarza donosiły się przyciszone rozmowy, w których nazwisko moje wymawiano z niezwykłą czcią i miłością. Rozróżniłem m. in. głos 60-letniej panny Psicówny:

— Nie jesteśmy gorsi od Jołopkiewiczowej. Złożymy się po 20 złotych na kwiaty. Ręczę, że nie wyrzuci ich do zsypu, lecz wstawi do wazonu. Zresztą, zaniosę mu także własny, kryształowy wazon...

Chyba diabeł we mnie wstąpił! Wyciągnąłem z kąta kilkukilogramowy młotek i przyczaiłem się pod drzwiami. Byłem zdecydowany zabić nie tylko pannę Psicównę, lecz każdego, kto mi złoży wizytę. Oto jakie już złe namiętności pojawiły się we mnie na skutek wczorajszego oszustwa...

Na szczęście na korytarzu wybuchł spór o to, kto najbardziej godny jest zanieść mi kwiaty i w krytycznym momencie do żadnej wizyty nie doszło. Delikatne pukanie do drzwi rozległo się dopiero wtedy, kiedy ze stanu skrajnej agresji popadłem w krańcową depresję psychiczną. I tylko temu faktowi zawdzięcza życie Jołopkiewicz. Nawet nie byłem w stanie rzucić w duchu przekleństwa na pocztę, która tym razem wyjątkowo szybko wywiązała się ze swoich obowiązków. Alfons trzymał w ręku wysłany wczoraj przeze mnie przekaz pieniężny i zapytał z czułą wymówką w głosie:

— Co to ma znaczyć, mój drogi przyjacielu?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

— Wybacz, po prostu zakpiłem z ciebie. Nie wygrałem miliona...

— Rozumiem, rozumiem — szeptał gorzko Jołopkiewicz, nie wierząc oczywiście w to, co usłyszał — masz pełne prawo wątpić w moją przyjaźń dla ciebie. Wiedz jednak, że pozory najczęściej mylą. Zaraz to udowodnię...

Wyciągnął z kieszeni kartkę maszynopisu i podsunął mi ją pod nos.

— Już wczoraj mówiłem, że tydzień temu zwróciłem się do Ministerstwa z prośbą o przyznanie ci stypendium twórczego. Oto kopia tego podania. Gdy je pisałem, nie wiedziałem, że wygrasz milion.

— Nie przyjmę jałmużny nawet od Ministerstwa — oświadczyłem dumnie.

— Oczywiście, oczywiście, że nie przyjmiesz. Po co ci teraz stypendium?

Wyszedł. Nie minęło dziesięć minut, gdy znów ktoś zapukał, jeszcze delikatniej. W drzwiach ujrzałem Jadzię Nastolankę z wielkim sztambuchem pod pachą. Widok tej kobiety przywrócił mi siły duchowe i cielesne.

Powiedziała:

— Zakładam sobie pamiętnik i byłabym uszczęśliwiona, gdyby pan pierwszy wpisał się do niego.

Jej głos był tak prześlicznie dźwięczny, że zapragnąłem słyszeć go codziennie. Dyskretnie więc włączyłem mały, kasetowy magnetofon, który w 10 rocznicę katastrofy na Pacyfiku otrzymałem w prezencie od dyrekcji Japońskich Linii Lotniczych JAL. O, jak mi się potem przydała ta taśma z głosem Jadzi! Ale o tym później.

Na razie w jakiejś dawno już nie trapiącej mnie gorączce wpisywałem wymyślony na poczekaniu czterowiersz do sztambucha Nastolanki. A ona stała blisko, blisko, nachylona nade mną. Czułem zapach jej włosów i widziałem na pół odkryte piersi. Gdy postawiłem swój podpis pod wierszykiem, Jadzia objęła mnie za szyję i zaczęła całować. Tłumaczyłem jej:

— Panno Jadziu, co pani robi? Przecież ja mógłbym być pani ojcem! Poza tym jestem inwalidą biednym jak dziad kościelny. Nie będę w stanie kupić pani nawet drobnego prezentu...

— Cóż mnie obchodzą pańskie lata, pańskie inwalidztwo i ubóstwo — szeptała namiętnie Nastolanka, szczególnie akcentując słowo „ubóstwo" — od dawna platonicznie kocham się w panu, ale już mam dość tego. Teraz chcę się kochać cieleśnie. Nie broń się, najdroższy. Jestem twoja i duszą i ciałem.

Zapomniałem nie tylko o magnetofonie, który rejestrował każde nasze słowo, ale i o całym świecie. Ileż rozkoszy może dać mężczyźnie kobieta, gdy zechce...

W ciągu najbliższych dwóch tygodni byłem jeszcze kilkakrotnie gwałcony przez Nastolankę, choć, oczywiście, nie biła mnie ona, nie wyrywała włosów z głowy, a jedynie zmuszała do uległości samą swoją urodą i obecnością...

Powszechnie wiadomo, że dyrekcja Toto-Lotka wypłaca główną wygraną w dwa tygodnie po losowaniu szczęśliwych numerów dyscyplin sportowych. W ciągu tego czasu doświadczyłem na własnej skórze mnóstwo ludzkiej życzliwości. Dostałem 25 ofert matrymonialnych M. in. zgłosiła się do mnie 80-letnia Kundelmanowiczowa, zachwalając dojrzałą już urodę, zaawansowany wiek i pięcioro dzieci swojej córki Barbary, którą ona, Kundelmanowiczowa, gotowa jest natychmiast rozwieść z jej obecnym mężem — fajtłapą, jeżeli ja wyrażę chęć połączenia się z Basią dozgonnym węzłem małżeńskim.

Swoje wdzięki zaofiarowała mi również Jołopkiewiczowa. Wszedłszy do mego mieszkania, upadła na kolana i całując moje dłonie i nogi wyznała, że od dawna kocha mnie do szaleństwa. I jeśli wyrządziła mi taką czy inną przykrość, to tylko dlatego, iż chciała w ten sposób zwrócić na siebie moją uwagę. Oczywiście, wie, że w obecnej sytuacji nie może jawnie porzucić męża ze względu na jego pozycję społeczną i zawodową, ale gotowa jest być moją potajemną kochanką.

Od razu domyśliłem się, że Petronela realizowała spisek uknuty przez Alfonsa. Miał on nadzieję, że rajfurząc własną żoną uszczupli pokaźnie mój milionik. Przecież już od tysiącleci wiadomo, że nic tak drogo nie kosztuje jak kochanka...

Podniosłem Petronelę z klęczek, a następnie utworzyłem przy pomocy własnej ręki i tułowia kąt prosty i powiedziałem jedno słowo: precz!

Wyszła, złorzecząc mi okrutnie i grożąc. Ciekawy byłem, jakie będzie następne posunięcie Jołopkiewicza.

Odezwała się również moja była żona, Łajzakiewiczowa (po aktualnym mężu). Do tego, co już przedtem o niej powiedziałem, dodam jedynie, że porzucając mnie, zabrała ze sobą naszego wówczas jednorocznego synka i przez następne kilkanaście lat ze skóry wprost wyłaziła, żeby utrudnić mi kontakt z dzieckiem.

Teraz Łajzakiewiczowa nadesłała list, w którym zaproponowała mi ponowne wstąpienie z nią w związek małżeński, skoro tylko załatwi sprawę rozwodu z Łajzakiewiczem. Ta jej propozycja miała na celu przede wszystkim wychowanie Jacka na porządnego człowieka i obywatela.

Odpisałem, że dziś już trudno będzie naprawić skutki dotychczasowych błędów w wychowaniu syna, ale gotów jestem przyłożyć się do tego dzieła, z tym, że propozycja małżeństwa z kobietą, z którą byłem już kiedyś ożeniony, mierzi mnie i jest nie do przyjęcia.

Rezultat mojej odpowiedzi był taki, że gdy odwiedziłem syna, to Łajzakiewiczowa oświadczyła, że pozwoli mi widywać się z nim tylko wtedy, jeżeli będę jej płacił za każdą wizytę 10 tysięcy złotych. Miałem w kieszeni sto złotych, więc z synem nie zobaczyłem się.

W dniu, w którym wszystkie znaki na niebie i ziemi powinny wskazywać, że mam już w domu milion złotych, Jadzia Nastolanka kategorycznie zażądała natychmiastowej odpowiedzi na pytanie, czy ożenię się z nią, a jeśli tak, to kiedy udamy się do Urzędu Stanu Cywilnego?

Odpowiedziałem, że gotów jestem iść tam natychmiast, tylko — dodałem w formie zapytania — z czego będziemy żyć po ślubie?

— Jak to z czego? — krzyknęła, nie kryjąc swojej wściekłości. — Przecież wygrałeś milion!

Długo tłumaczyłem jej, że to plotka, do której powstania sam się w dużym stopniu przyczyniłem, ale nie uwierzyła mi. Po namyśle złożyła następujące oświadczenie:

— Rozumiem, znudziłeś się mną. Popełniłam błąd, że oddałam ci się przed ślubem. Teraz masz już zapewne na oku inną dziewczynę, która dogadzając twoim chuciom, obedrze cię z bogactw. Zgadzam się na to, ale pod jednym warunkiem odpalisz mi pół miliona!

— Zwariowałaś? — zawołałem ze stuprocentową szczerością. — Nie żądasz chyba, abym z pistoletem poszedł do Banku Narodowego?

— Odpalisz — powtórzyła twardo — albo zgnoję w więzieniu.

— No to zgnój! — wykrzyknąłem w skrajnej desperacji.

Wychodząc trzasnęła drzwiami aż tynk posypał się z sufitu.

W następnym dniu zjawiła się z adwokatem, który cytując z pamięci łacińskie formułki prawne oświadczył mi, iż jego klientka, zgwałcona bestialsko przeze mnie, odstąpi wspaniałomyślnie od złożenia w prokuraturze wniosku o ściganie mnie, jeśli wypłacę jej stosowne odszkodowanie za szkody cielesne i moralne. Wymienił pół miliona złotych jako sumę minimalnie równoważącą owe szkody.

Zachichotałem histerycznie, dziękując jednak w duchu Bogu, że natchnął dyrekcję JAL do sprezentowania mi magnetofonu kasetowego, a mnie do naciskania odpowiedniego klawisza w trakcie rozmów z kobietami.

Szybko jakoś rozeszła się wiadomość, że nie mam najmniejszej chęci podzielenia się z kimkolwiek wygranym milionem. Natychmiast zmienił się stosunek otoczenia do mnie. Po Nastolance złożyła mi wizytę Kundelmanowiczowa i postawiła zarzut, że rozbiłem małżeństwo jej córki Basi, pozbawiając pięcioro drobnych dzieci ojca. Zażądała 50 tys. zł odszkodowania. I tym razem zachichotałem histerycznie.

Jeszcze przez kilka dni ludzie na korytarzu i klatkach schodowych bloku kłaniali mi się, ale jakoś ozięble. Potem z dumą i wzgardą odwracali się na mój widok.

Zrobiłem rachunek sumienia i doszedłem do wniosku, że powinienem natychmiast pójść do prokuratora i przyznać się do brzemiennego w skutki oszukania Jołopkiewicza. Niech mnie zamkną na rok lub dwa lata do więzienia!

Poszedłem. Jakie było moje zdumienie, gdy sekretarka prokuratora poderwała się na mój widok jak piłka wykopnięta nagle z bramki. Rany boskie — pomyślałem — czyżby i tu liczono na udział w wygatkowaniu mego miliona? Na szczęście z krótkiej rozmowy z nią dowiedziałem się, że trwa amnestia dla tych, którzy dobrowolnie ujawnią swoje przestępstwa i ona, sekretarka, szczerze się cieszy widokiem ludzi pozbywających się ciężaru tajemnicy zbrodni. Niestety, z mojej wizyty nie ucieszył się prokurator. Długo błagałem go, aby natychmiast zamknął mnie do więzienia. Rozkładał ręce twierdząc, że nikogo nie wolno oszukiwać, nawet Jołopkiewicza, ale ponieważ mój występek posiada jedynie znamiona żartu, z którego nie usiłowałem wyciągnąć żadnych profitów, więc on, prokurator, po prostu nie wie, pod jakim paragrafem mógłby mnie sklasyfikować. Delikatnie wypchnął mnie za drzwi.

Po powrocie do mieszkania włosy zjeżyły mi się ze strachu pod czapką. Drzwi były otwarte, a wewnątrz królowały niepodzielnie sodoma i gomora rzeczy martwych. Ktoś popruł na strzępy kanapę, rozbebeszył łóżko, zerwał cztery deski w podłodze, powywalał z szafy bibliotecznej wszystkie książki, a z szuflad wszystkie papiery. Nawet kaloryfery były porozkręcane. Oczywiście: to złodzieje złożyli mi wizytę. Na szczęście magnetofon i taśmy, jedyne rzeczy wartościowe dla mnie, miałem ze sobą w teczce u prokuratora. Z mieszkania nic nie zginęło.

Gdy otępiały siedziałem na zdewastowanej kanapie i patrzyłem na huragan ludzkiej złej woli, który zniszczył mieszkanie, wszedł listonosz i przyniósł 64 listy. Połowa zawierała oferty matrymonialne i stręczycielskie, a połowa anonimy wyznaczające miejsce i sposób złożenia przeze mnie okupu. Autorzy grozili mi masakrą i śmiercią w wypadku nie spełnienia ich żądań. Kilku szantażystów zapowiedziało wzięcie zakładników. Gdy podsumowałem wszystkie żądane ode mnie sumy, to okazało się, że musiałbym 15 razy prawidłowo wytypować sześć dyscyplin sportowych.

W następnym dniu poczta doręczyła mi 155 listów. Treść taka sama, jak wczoraj. Załamałem się. Dostrzegłem wreszcie to jedyne wyjście z trudnej sytuacji. Wlazłem na stół, przywiązałem sznur do haka od żyrandola, założyłem pętlę na szyję i rzuciłem się w dół. Niestety, zerwał się i hak i sznur, a ja wyłamawszy swoim ciężarem dziurę w miejscu, gdzie wczoraj złodzieje zdemolowali podłogę, spadłem na tapczan w mieszkaniu na niższej kondygnacji. Na tapczanie akurat kopulowała z kochankiem żona fryzjera Dowierczyńskiego. Aresztowano architekta...

Zrozumiałem, że chyba tylko interwencja środków masowego przekazu może wyprowadzić ludzi z błędu co do mego miliona i zapobiec dalszym nieszczęściom. Zadzwoniłem do redakcji „Kameny", która systematycznie odrzuca teksty Jołopkiewicza. Zlecono wywiad ze mną niejakiemu Gajdzińskiemu. Wiem, że orłem dziennikarstwa to on nie jest, ale dla mnie okazał się w sam raz. Przede wszystkim dlatego, że jego wygląd fizyczny fascynuje otoczenie. Gdy szedł do mnie po raz pierwszy, przewalając z nogi na nogę swoje muskularne ciało, pokryte gęstym owłosieniem i cal przy calu makabrycznymi tatuażami i patrząc przy tym ponuro spode łba na wszystko i wszystkich, to moi sąsiedzi szeptali z ulgą:

— No, nareszcie idzie wynajęty przez Jołopkiewiczów morderca, aby zrobić ostateczny porządek z Apsnykiewiczem...

A gdy przekonano się, że jednak nie jest to morderca, lotem błyskawicy rozniosła się wieść, że Apsnykiewicz wynajął (ma za co) do osobistej ochrony światowej sławy goryla, któremu lepiej w drogę nie wchodzić. Przez kilka dni, w ciągu których dziennikarz ten przepisywał z taśmy to, co powiedziałem, mogłem spokojnie pójść nawet do sklepu po chleb i margarynę, gdzie oczywiście, nie obsługiwali już mnie priorytetowo ze względu na moje chorobliwe skąpstwo.

Nastolanka złożyła już w prokuraturze wniosek o ukaranie mnie za gwałt. Ale mam nadzieję, że nie tylko taśmy magnetofonowe, które zaniosę na rozprawę do sądu, lecz także druk w prasie mego niniejszego przyznania się do oszukania Alfonsa Jołopkiewicza — pomogą zainteresowanym ludziom w opamiętaniu się.

• • •

Przepisałem z taśmy magnetofonowej wszystko, co powiedział Apsnykiewicz, nie wykreślając nawet niepochlebnych uwag o mnie. Od siebie dodam, że w trakcie przygotowywania niniejszych materiałów do druku milicja odnalazła już i osadziła gdzie trzeba 86 terrorystów domagających się okupu od Apsnykiewicza. Jest wśród nich redaktor Alfons Jołopkiewicz.

I pomyśleć tylko, jaką reakcję łańcuchową w myślach, uczuciach i postępkach ludzkich może wywołać jeden jedyny żart... Ale żart o milionie!

Jerzy Gajdziński

Praha po czesku

Dokończenie ze str. 9

prezentacyjną placówkę tego typu i chyba reprezentatywną. Przed wojną był to dom ludowy, własność miasta. Mieścił restaurację, sale taneczne, bankietowe i klubowe. Dziś jest podobnie, aczkolwiek restauracja należy do odrębnego przedsiębiorstwa. Zresztą bufet i stoliki barowe są też w pomieszczeniach samego domu kultury, a do restauracji wygodne przejście. Budynku nie wolno przerabiać czy zbytnio modernizować wnętrza, ponieważ jest zabytkowy. I tak oto kultura z gastronomią w jednym stoją domu, w zgodzie przykładnej i komitywie.

Placówka mieści największą w dzielnicy bibliotekę, gdzie pokazano mi pięknie wydaną (1974 rok) antologię poezji polskiej (20 kčs). Reprezentują nas: Baczyński, Różewicz, Kamieńska, Szymborska, Grochowiak, Bryll, Harasymowicz, Nowak, Lipska i Urszula Kozioł. Sam odnalazłem w katalogu „Trampolinę" Marka Nowakowskiego, no i oczywiście, tak zwanych klasyków. Są rozmaite pracownie, jak w normalnym domu kultury, i bardzo popularny klub zbieraczy osobliwości, który wydaje własne pismo pt. „Sběratel" (dom kultury dysponuje drukarnią). Zbiera się wszystko: naklejki od piwa i sera, stare akcje i obligacje, banknoty, opakowania od czekolad i kakao, pudełka od zapałek firmy „Ditta Francesco Lavaggi e Figlio Fabrica Flammiferi-Trofarello Torino", znanej od 1845 roku, oraz tysiąc i jeden najprzedziwniejszych drobiazgów. Pośród dawnych kart pocztowych można odnaleźć i polską z napisem:

Gdzie świeże sadło, tam się mysz kręci,
Młoda kobietka ciebie zawsze nęci.
Nie baczysz na to, że w obecnej porze
Cudzołóstwo bezkarnie ujść nie może.

„Każdy Czech to muzykant" — powiedziała mi jedna z pracownic domu kultury. Bo też i największym wzięciem radują się rozmaite występy zespołów folklorystycznych, orkiestr dętych, koncerty muzyki kameralnej, a przede wszystkim — taniec towarzyski. Nauka tańca i konkursy tańca na szczeblu miasta i kraju oraz w konkurencji międzynarodowej. Tej to taneczno-muzycznej działalności służy imponująca sala im. Majakowskiego, który w roku 1927 był w Pradze i w tej właśnie sali recytował swoje wiersze. Tutaj nawet zjazdy naukowe i sympozja odbywają się przy stolikach nakrytych białymi obrusami. Trochę w tym tradycji klubowo-bankietowej. Białe obrusy towarzyszą także wszelkim imprezom muzycznym, w których kochają się Czesi. We wrześniowym programie dom kultury miał występy znakomitej Heleny Vondráčkovéj, którą prażanie zwą po prostu — Helenka, a do tańca przygrywała orkiestra „Merkury" (wstęp 16 kčs). Która z naszych „gwiazd" piosenkarskich chciałaby się w ten sposób „pospolitować"!

Żeby już nie było tak całkiem bankietowo, tanecznie, muzycznie i towarzysko, ale bardziej pracowicie i praktycznie, dodam, że wielkie powodzenie mają kursy szycia i gotowania, co nie wymaga specjalnego komentarza. Tyle iż znowu widać mariaż kultury z całkiem pragmatycznymi celami i może to nie jest takie złe, jeśli kultura to wpierw umiejętność ubierania się, sztuka odżywiania etc., a dopiero potem przygotowanie do chłonięcia „wyższych wartości"? Po ulicach starej Pragi chodzi młodzież długowłosa i szkoły machnęły na to ręką, chodzą panienki w trochę już niemodnych mini-spódnicach, króluje muzyka tak zwana młodzieżowa. Nie wiem, co oni mają w głowach, ale wiem, że ubrani są schludnie i włosy mają domyte.

Byłem też w jednym z nowych osiedli, pod nazwą „Novodvorská", podobno najczystszym w całej Pradze, gdyby szło o ochronę naturalnego środowiska. Ale naturalne środowisko człowieka to również, a może nawet przede wszystkim, osiedle mieszkaniowe i urządzenia osiedlowe, które mają człowiekowi służyć. Pierwsi lokatorzy zaczęli się wprowadzać w 1967 roku, zaś rok potem rozpoczęto budowę centrum usługowo-handlowego i poczty. Na ostatni ogień — sprawa typowa i w Polsce — poszedł dom kultury, czynny od ubiegłego roku.

Obok zdążył już wyrosnąć wielopiętrowy, potężny pensjonat dla samotnych (pojedyncze pokoje). Bo w Pradze sytuacja mieszkaniowa bardzo ciężka, czeka się na lokal spółdzielczy do 10 lat. Trzeba się wpierw ożenić, mieć dziecko i dopiero otrzymuje się... punkty na mieszkanie. Ale trzypokojowy lokal może liczyć i ponad 70 metrów kwadratowych.

W tym, mającym 17 000 mieszkańców, osiedlu zaplecze usługowe, handlowe i kulturalne jest imponujące. Nie jakieś porozrzucane pawiloniki, lecz zwarty kompleks, gdzie mieści się wszystko, począwszy od fryzjera i pedikiurzystki, poprzez kawiarnię, winiarnię, kino i bibliotekę, a na domu kultury skończywszy. Nie wspominam o służbie zdrowia, szkołach i przedszkolach, które zlokalizowano nieco dalej. W placówce kulturalnej największa sala znowu z wyraźnym przeznaczeniem na koncerty muzyczne (stałe podium dla orkiestry), bale i kursy taneczne. I znowu bezpośrednie połączenie z restauracją, znowu bufecik z sandwiczami i tak dalej. Widać to mocno już zakorzeniona tradycja u braci-Czechów. Kino i biblioteka mieszczą się w domu kultury, choć należą do innych przedsiębiorstw. Nie da się ukryć, że sympatyczna i nad wyraz rozsądna wydaje mi się owa fuzja najrozmaitszych instytucji, służących człowiekowi na co dzień. I jakoś nie widać kłopotów z rozliczeniami finansowymi.

Polskich działaczy kulturalnych mogę zapewnić, że praskie placówki, nawet te z najwyższego szczebla, są nastawione przede wszystkim na działalność merytoryczną, po prostu dla ludzi, a nie na jakiś mniej lub więcej iluzoryczny instruktaż w stosunku do „terenu". A przecie konkurują z nimi nieprzeliczone kabarety i dancingi w śródmieściu, tanie bary i kafejki...

Wszystko to nie przeszkadza, że już w piątek po południu (soboty Czesi mają wolne) Praga pustoszeje. Kto nie widział kolejek na stacjach benzynowych, ten niech się przyjrzy Pradze w wieczór piątkowy i sobotni ranek. Kto nie widział korków samochodowych na wąskich uliczkach i na drogach wylotowych z miasta, i tak dalej. Prażanie co tydzień „wyrywają" z miasta na dwudniowy wywczas. (Biorą pożyczki bankowe, kupują działki, czasem nawet odległe od Pragi o 150 km, stawiają domki i mają dokąd jechać).

Taki weekend to w Czechosłowacji cała instytucja, ruch społeczny niemal, najbardziej spontaniczny u naszych wygodnych braci. W Pradze wydawany jest miesięcznik pt. „Chatař" — „Časopis pro chataře a chalupáře". A trzeba wiedzieć, że istnieje zasadnicza różnica między chatą a chałupą. Chata to domek zbudowany z prefabrykatów, kupowany na raty (samochody też na raty), i tych domków tworzą się całe osiedla. Chałupa zaś to znacznie droższe domostwo, odkupione od starych chłopów, najczęściej zabytkowe i odpowiednio przez nowego właściciela przystosowane. W Beskidach koło Ostrawy ludzie wykupują autentyczne chałupy góralskie. W samej Ostrawie raz do roku odbywają się targi chat. Wspomniany miesięcznik z najdrobniejszymi szczegółami podaje, jak zbudować chatę lub urządzić chałupę, jakie są potrzebne narzędzia, kwiatki do posadzenia, a nawet jak przyrządzić zupę koperkową lub pikantny twaróg, czy wreszcie jak wygląda nietoperz i po co w ogóle na świecie istnieje... I żeby jeszcze nie te korki samochodowe przy powrocie do stolicy w niedzielę wieczorem!

Maciej Podgórski

Sennik egipski

- 24 -

Nogi grzać — choroba
Nogi myć — oczyszczenie się z zarzutów
Nogi chore, odparzone — cierpienie moralne
Nogi obute — podróż
Nogi wielkie, niezgrabne — skłonności erotyczne
Nos duży — powodzenie
Nos czerwony — wstyd
Nosić coś — korzystny trud
Nosze — choroba
Notatnik — znalezienie zguby
Nowiny słyszeć — przeciwieństwo tego co się śni
Nowele czytać — urozmaicona miłość
Noworodek w małżeństwie — szczęście
Noworodek u panny — plotki
Nożyce — irytujące wiadomości
Nóż widzieć — niebezpieczna zabawa
Nóż ostrzyć — zatarg
Nożem kroić — będziesz się czymś dzielić
Nóż zardzewiały — straty
Nudy — stracisz cel w życiu
Numery — stawiać na te numery
Nurek — zbadasz tajemnicę
Nuty — mozolna, ale miła praca.

O

Oaza — dobre widoki na zyski
Obcasy — spotka cię brutalność
Obcinać coś — pozbędziesz się czegoś złego
Obcęgi — wyrwiesz zło z korzeniami, swaty
Oberwanie chmury — niesamowite wydarzenie
Obiad jeść u siebie — dobre samopoczucie
Obiad jeść u kogoś — niespodzianka
Obiecywać — niedotrzymanie przyrzeczeń
Obierać coś — odsuniesz zło od siebie
Obliczać straty — zarobisz na jakiejś transakcji
Obliczać zyski — straty
Obłoki jasne — życie bez trosk, radość
Obłoki ciemne — zmartwienie, strach
Obłuda — ktoś zakpi z ciebie
Obmywać kogoś — będziesz bronić kogoś
Obmywać siebie — będziesz się bronił przed oszczerstwem
Obnażać — wstyd
Obojętność — jakieś przeżycia wewnętrzne
Obora z bydłem — powiększenie dobytku, zysk
Obora pusta — zabiegi w gospodarstwie
Obóz harcerski — wesoła, beztroska zabawa
Obóz wojskowy — doniosłe wydarzenia
Obrączka — nawiązanie przyjaźni
Obrączkę zgubić — nieszczęście
Obrączkę otrzymać — niezawodna przyjaźń
Obrady — gościna zakończona kłótnią
Obraz malować — spokojne życie
Obraz oglądać — nowa miłość, nowa znajomość
Obrazem się zachwycać — odkryjesz kłamstwo
Obrazy wieszać — poznają się na twojej pracy
Obrazy zdejmować — troski
Obrazki — duże nadzieje
Obręcz cała — miłość w rodzinie lub przyjaźń towarzyska
Obręcz pęknięta — nieprzyjemności
Obrus biały — choroba
Obrus kolorowy lub brudny — zmartwienie
Obszarpane ubranie — zniesławienie
Obudzić się — dowiesz się przykrej prawdy
Obudzić kogoś — ostrzegać będziesz kogoś
Oburzyć się — spotka cię kara bez winy
Obuwie nowe — dobra wróżba, podróż
Obuwie stare, podarte — choroba, niepowodzenie
Obuwie kupować, wkładać — podróż, zabawa
Obwarzanek — zaproszenie na zabawę
Obwiązywać coś — radosne wydarzenie
Ocean — wielkie zamiary
Ocet — zły czyn pomści się
Ocet pić — zawiedziona miłość, zawiedzione zaufanie
Oczy czarne — gorąca miłość, tęsknota za czymś
Oczy niebieskie — spokojne przyjacielskie uczucie
Oczy złe — zazdrość
Oczy duże — realność w poczynaniach, mądre posunięcie
Oczy chore — niespełnione nadzieje
Oczy zezowate — niewinne cierpienia
Oczy niewidome — zdrada w małżeństwie
Oczekiwać — niecierpliwość, zdenerwowanie
Oczerniać — niechcący krzywdę komuś wyrządzisz
Odebrać coś — odwzajemnią ci się takim samym postępowaniem
Odbudować — rozpoczniesz nowe życie, szczęśliwe
Odcisk — przykrość od znajomych
Odcisk wycinać — pozbyć się natręta
Odcinać gałązki — złe prowadzenie interesów
Odcięta część ciała — śmierć wśród przyjaciół
Odczyt wygłaszać — uznanie twych racji
Odczytu słuchać — dowiesz się dużo prawdy
Oddawać coś — wyzyskują cię
Odejmować — będziesz liczył straty
Odkopywać — trud połączony z korzyścią
Odlewy robić — mozolna praca
Odlot — stracone nadzieje, smutek
Odłamek — małe, drobne zgryzoty
Odmłodnieć — dobra wróżba
Odmówić komuś czegoś — doznasz od ludzi przykrości
Odmrożenie — stracone nadzieje
Odnosić — zatargi
Odpadki wyrzucać — odrzucisz fałszywą przyjaźń
Odpatki gromadzić — karygodne skąpstwo

Dalszy ciąg nastąpi

kultura 1974

Literatura

◆ 351 zestawów utworów nadesłano na V ogólnopolski konkurs poetycki im. Jana Śpiewaka. Główną nagrodę, a także nagrodę plebiscytu słuchaczy, zdobył Janusz Adam Kobierski ze Słupska.

◆ Tadeusz Nowak, laureat tegorocznej Nagrody Państwowej, przygotowuje do wydania książkowego wybór felietonów, 100 wierszy z cyklu „Psalmy" oraz powieść.

◆ Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" ogłasza konkurs na utwory prozatorskie dla uczniów czterech pierwszych klas szkół podstawowych — na krótkie opowiadania (do 10 stron maszynopisu) lub dłuższe opowieści (do 100 stron maszynopisu). Prace należy przesyłać do 1 września 1975 r. pod adresem: Naczelna Redakcja Wydawnictw dla Dzieci i Młodzieży, Krajowa Agencja Wydawnicza, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46.

◆ W warszawskim Domu Kultury Radzieckiej odbyła się sesja literacko-naukowa na temat „Rewolucja Październikowa i problemy rozwoju literatury radzieckiej". Następna odbędzie się w marcu i będzie poświęcona Michałowi Szołochowowi w 70-lecie jego urodzin.

◆ Sześć dni trwało we Wrocławiu i w Karpaczu polsko-francuskie sympozjum na temat „Literatura Oświecenia we Francji i w Polsce" Obecni byli naukowcy z Polski, Francji, Belgii, Włoch i Węgier.

◆ PIW wydał trzy tomiki wierszy współczesnych zagranicznych poetów: „Lustro i inne wiersze" Witalija Korotycza (ZSRR), „Prowokacje" Volkera Brauna (NRD) i „Liryki" Georgija Dżagarowa (Bułgaria).

Teatr

◆ Warszawski Teatr Nowy otworzył Scenę Poezji. Inauguracyjnym spektaklem było widowisko „Ranyjulek czyli szaleństwa Juliana Tuwima" w opracowaniu Zygmunta Listkiewicza. Wystąpiło 32 aktorów i wokalistów, z Ireną Kwiatkowską na czele.

◆ Poznański Teatr Polski wystawił prapremierę sztuki Jarosława Abramowa „Darz Bór" w reżyserii Andrzeja Witkowskiego.

◆ Na scenie Teatru Dramatycznego odbyły się tradycyjne Warszawskie Spotkania Teatralne, mające być przeglądem najciekawszych spektakli z całego kraju. W spotkaniach uczestniczyły zespoły z czterech miast — Krakowa, Łodzi, Katowic i Poznania. Czy na innych scenach nie działo się nic ciekawego?

◆ Z okazji Roku Żeromskiego Teatr Ziemi Łódzkiej przygotowuje premierę „Ludzi bezdomnych" w adaptacji Wł. Orłowskiego.

◆ Na małej scenie łódzkiego Teatru im. Jaracza wystawiono polską prapremierę sztuki angielskiego dramaturga Toma Stopparda pt. „Rosenkrantz i Guildenstern nie żyją", która stanowi rozwinięcie jednego z wątków „Hamleta".

◆ Leningradzki Teatr im. Gorkiego jako pierwszy teatr radziecki występował w kilku miastach RFN. Pokazano „Mieszczan" Gorkiego.

◆ Arthur Miller w wywiadzie podczas pobytu w Brukseli: „Moda na teatr gestu wynika głównie z tego, że nie ma teraz dobrych sztuk. Żeby pan wiedział, jak trudno napisać dobrą sztukę!".

Sztuka

◆ Galeria Sztuki Współczesnej wrocławskiego Muzeum Narodowego otrzymała cenny dar od Władysława Hasiora — kompozycję „Golgota", jedno z najciekawszych dzieł tego artysty z ostatniego okresu.

◆ 48 twórców zaprezentowało 190 prac na Ogólnopolskiej Wystawie Satyry, zorganizowanej przez ZPAP w Łodzi. Jest to druga tego typu duża wystawa (pierwsza odbyła się w Warszawie w 1959 r.).

◆ „Twórcy kultury i sztuki polskiej" — to tytuł wystawy, prezentowanej przez B. J. Dorysa w warszawskim Salonie Fotografiki Galerii Sztuki Współczesnej przy pl. Zamkowym 8.

◆ W warszawskim Muzeum Historycznym można oglądać ekspozycję słynnych szopek krakowskich.

◆ Polscy archeolodzy cieszą się dużym uznaniem w świecie. Ostatnio jedna grupa współpracowała przy wykopaliskach z archeologami algierskimi, druga z włoskimi w okolicach Salerno.

◆ W tzw. dyrektorówce otwarto w Iwoniczu-Zdroju pierwsze w kraju muzeum balneologiczne, związane z 400-letnią historią tego uzdrowiska.

◆ Kraków zyskał nową galerię wystawową — tym razem w hali warsztatów tramwajowych MPK.

◆ W Kownie otwarto wystawę akwareli Witautasa Krasauskasa pt. „Polska widziana oczami litewskiego malarza". Artysta poprzednio dłuższy czas przebywał w naszym kraju.

Muzyka

◆ W Teatrze Muzycznym w Gdyni odbyła się premiera musicalu dla dzieci, młodzieży i dorosłych pt. „Przygody Sindbada Żeglarza". Muzykę skomponował Jerzy Milian, libretto jest oparte na poetyckiej baśni Leśmiana.

◆ W najbliższych dniach w stołecznym Teatrze Wielkim odbędzie się premiera dramatu muzycznego Krzysztofa Pendereckiego „Diabły z Loudun" w reżyserii Kazimierza Dejmka. Wystąpią m. in. K. Szostek-Radkowa, A. Hiolski i B. Ładysz.

◆ Poznański Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego przygotowuje na styczeń prapremierę wieczoru baletów polskich. Będą to sceny według „Zemsty" Fredry do muzyki Moniuszki, Karłowicza i młodego współczesnego kompozytora Norberta Kuźnika.

◆ Na koncercie Filharmonii Rybnickiego Okręgu Węglowego jako solistka wystąpiła z powodzeniem 12-letnia pianistka K. Ogórek.

◆ Przeszło dwa miesiące trwało tournee „Mazowsza" po Francji, Holandii i Belgii, zakończone 5 grudnia.

◆ 45 koncertów w 45 miastach USA i Kanady to plon prawie dwumiesięcznej podróży Wielkiej Orkiestry Symfonicznej PRiTv z Katowic.

◆ W czasie 13-dniowego pobytu w RFN poznański chór chłopięcy dał siedem koncertów w różnych miastach oraz dokonał dwóch nagrań dla radia w Kolonii.

Film i TV

◆ Reżyser i aktor Orson Welles został laureatem nagrody Amerykańskiego Instytutu Filmowego. Jury oświadczyło że głównym powodem przyznania nagrody jest wpływ, jaki wywarł na sztukę filmową jego słynny film „Obywatel Kane".

◆ Karel Gott wystąpił jako aktor w głównej roli nowego czechosłowackiego musicalu filmowego. Musical jest oparty na sztuce Josefa Kajetana Tyla pt. „Dudziarz ze Strakonic".

◆ Kosztem ponad 2 mln dolarów jedna z firm amerykańskich nakręca w Pradze film o zamachu na Heydricha, zastępcę „protektora Czech i Moraw" w czasie II wojny światowej. Wystąpią aktorzy amerykańscy i czechosłowaccy.

◆ Zarówno prasa jak i organizacje społeczno-polityczne w Jugosławii ostro krytykują repertuar w kinach, oparty w głównej mierze na małowartościowych filmach zagranicznych.

◆ Reżyser zachodnioniemiecki Wolfgang Libeneiner przygotowuje nową, siedmioodcinkową serię filmów telewizyjnych o Szwejku.

◆ „Hollywood to dzisiaj wymarłe miasto" — stwierdziła w Londynie Gloria Swanson, słynna przed wojną aktorka. Mocno podstarzała była gwiazda wciąż jeszcze występuje w różnych filmach.

Różne

◆ Niezmordowany Arkady Fiedler — autor ponad 30 książek, wydanych w 20 językach w łącznym nakładzie 7 mln egzemplarzy — wybiera się w nową podróż. Tym razem polskim okrętem do krajów Afryki Zachodniej. Twierdzi, że chodzi mu tylko o powiększenie zbiorów w muzeum w Puszczykówku, ale chyba owocem będzie także nowa książka.

◆ Od czasu do czasu w naszej telewizji oglądamy włoskie plebiscyty na najlepszych piosenkarzy i piosenkarki pt. „Canzonissima". Jak się okazało, wśród 17 milionów kart głosowania — 6 milionów było sfałszowanych. Piosenkarka Carla Bertotti sama i wspólnie ze znajomymi przesłała na siebie 300 tys. sfałszowanych kart.

◆ Na radiowy konkurs na scenariusz programu rozrywkowego nadesłano 118 prac, ale poziom był taki, że I nagrody nikomu nie przyznano. Dwie drugie nagrody zdobyli: Wojciech Młynarski i Jerzy Wittlin.

◆ Premiera baletu „Pan Twardowski" L. Różyckiego rozpoczęła na Kubie Dni Kultury Polskiej, które trwały do 15 grudnia. Obejmowały one pokaz wielu naszych filmów oraz występy zespołów i solistów, m. in. K. Kulki.

◆ Muzeum Adama Mickiewicza w Nowogródku podczas spotkania z działaczami kulturalnymi Białorusi zostało odznaczone odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej".

◆ Sto trzydzieści tomów antycznych autorów w ciągu 25 lat wydała lipska oficyna B. G. Teubner. Wszystkie w oryginale — po łacinie lub grecku. Jest to jedyne tego rodzaju wydawnictwo w świecie.

Lubliniana

◆ Duży sukces odnieśli lubliniacy na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we wrocławskiej Piwnicy Świdnickiej. Jedną z trzech drugich nagród zdobył J. W. Krzyszczak z Lublina, a nagrodę specjalną jury oraz nagrodę dziennikarzy Kazimierz Pietrykowski z Chełma. Gratulujemy!

◆ Na ogólnopolskim konkursie fotograficznym w Bydgoszczy pod hasłem „Człowiek i jego praca" jedną z drugich nagród zdobył Czesław Mandziej z Puław. Winszujemy.

◆ W nowym Domu Kultury Luo. Spółdzielni Mieszkaniowej przy współpracy z oddziałem ZPAP zorganizowano pierwszą aukcję dzieł malarzy lubelskich. Warto kontynuować tę inicjatywę.

◆ W ramach podróży po kilku miastach Polski w Lublinie przebywała grupa dziennikarzy z całego kraju na sesji, poświęconej problemom ochrony zabytków.

◆ W dniach 2—5 grudnia odbyły się na Lubelszczyźnie Dni Bułgarii. Z tej okazji w Lublinie, Puławach, Chełmie, Bełżycach oraz w innych miejscowościach odbyły się wystawy, spotkania, pokazy filmów i inne imprezy, ilustrujące przede wszystkim dorobek kulturalny przyjaciół bułgarskich.

30-LECIE TEATRU IM. J. OSTERWY

W 30 rocznicę pierwszego po wojnie przedstawienia teatralnego na scenie dzisiejszego Teatru im. J. Osterwy — „Wesela" St. Wyspiańskiego w reżyserii Jacka Woszczerowicza (29 XI 1944) — Teatr nasz obchodził uroczyście swój jubileusz. Na premierze „Krakowiaków i górali czyli Zabobonu" byli m. in. obecni I sekretarz KW PZPR Piotr Karpiuk, wojewoda Ryszard Wójcik, członek Rady Państwa Halina Kożniewska, wiceminister Kultury i Sztuki Aleksander Syczewski oraz wielu b. aktorów tej placówki.

W holu Teatru usytuowano wystawę „XXX lat teatru dramatycznego w Lublinie". W tym czasie placówka ta wystawiła około 300 premier, występowało ponad 300 aktorów, widzów było prawie 4 miliony.

Z okazji jubileuszu Teatr otrzymał złotą odznakę „Zasłużony dla miasta Lublina". Z zespołu odznaczenia otrzymali: Złoty Krzyż Zasługi — Al. Kobyliński i Witold Lisowski, Srebrny Krzyż Zasługi — St. Maleszewski, St. Mirzdal i W. Zarychta, ponadto czterech pracowników — odznaki „Zasłużony Działacz Kultury".

W ramach uroczystości odbyło się również uroczyste plenum Zarządu Głównego SPAFiT z referatami prezesa G. Holoubka i dyrektora Teatru K. Brauna.

noty i notki

Jako zawzięty czytelnik lubelskiej prasy codziennej do dziś jestem w rozterce, jak to właściwie było, jako że żadna z redakcji nie poczuła się do obowiązku sprostowania nieścisłości. Otóż rano 2 grudnia ze „Sztandaru Ludu" dowiedziałem się, że Teatr im. Osterwy z okazji swego jubileuszu odznaczony został złotą odznaką „Zasłużony dla Lublina". Tuż po południu „Kurier Lubelski" stwierdził natomiast, że była to odznaka „Zasłużony dla Lubelszczyzny". Tak samo rano przeczytałem, że poprzedniego dnia w Puławach oddano do użytku „pełnowymiarową halę sportową i krytą pływalnię", w której to pływalni odbył się „trening pływackiej młodzieży ZKS Wisła". Kilka godzin później „Kurier Lubelski" doniósł tylko o otwarciu pływalni. O treningu nie było ani słowa, natomiast dość obszerna informacja o ustanowieniu podczas rozgrywanych tam zawodów (!) 8 rekordów Polski przez jedna zawodniczkę i trzech zawodników z „Lublinianki".

Podobne, a może jeszcze gorsze rozbieżności zdarzają się także w prasie centralnej. „Kurier Polski" w nr. 277 twierdził, że „na swoje 1000-lecie Sandomierz wraca do pełnego blasku" i z pełnym uznaniem wyraża się o prowadzonej rewaloryzacji tego zabytkowego miasta. Natomiast [illegible] później Wojciech Giełżyński w „Polityce" zamieścił reportażo-artykuł pt. „Zwiedzajcie Sandomierz!", w którym obok opisu popełnionych tam nadużyć twierdzi, że jakość robót rewaloryzacyjnych jest podła, a o zakończeniu tych prac w roku przyszłym — jubileuszowym — nawet nie warto marzyć.

Zarząd Okręgu Stow. Bibliotekarzy Polskich oraz Biblioteka im. Łopacińskich opublikowały „Katalog czasopism lubelskich", wydawanych w województwie od końca XVIII wieku. Odnotowano aż 791 pozycji, co chyba nie tylko dla mnie było zaskoczeniem. Nie rozumiem tylko, dlaczego np. przy „Kamenie", „Kurierze Lubelskim" czy „Rolniku Lubelskim" podano nazwiska kolejnych redaktorów naczelnych tych pism, nie uczyniono tego natomiast przy „Sztandarze Ludu" czy „Głosie FSC". Szkoda nie tyle na dzisiaj, ile dla tzw. potomności.

Na lubelskim targu przy al. Tysiąclecia wisi duży, malowany na tablicy cennik owoców i warzyw, na którym nalepia się kartony z rzekomo aktualną ceną. Rzekomo, bo np. 4 grudnia cebula według cennika miała kosztować 7 zł za 1 kg, a najlepsze [illegible] 12 zł, tymczasem w praktyce za cebulę trzeba było płacić 12 zł, a za jabłka 16—18 zł. Myślę, że taki cennik należałoby [illegible] zwłaszcza że ceny na targowiskach oficjalnie mogą kształtować się według zasady podaż — popyt.

Do czego może doprowadzić magia symboli, stosowanych przez nasz przemysł, przekonałem się z okazji Mikołaja. Kupiłem wnuczce małpkę, wyprodukowaną przez — nie zgadniecie — „Zakłady Wytwórcze Osprzętu Samochodowego w Białymstoku"!. Na metce obok ceny widniał taki symbol małpki: I 5109/44/73/TWT/11/CZSP/E1/28 SVVW — 2826—200. Rząd (z konia) temu, kto potrafi przetłumaczyć to na język polski.

W dniu 3 grudnia o godz. 17.01 lubelski trolejbus linii 50 wbrew przepisom zatrzymał się na rogu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Waryńskiego. Szczerze pogratulowałem kierowcy, ponieważ chodziło o to, aby inwalida z dwoma kulami miał bliżej na ulicę Szopena. Jak rzadko, niestety, spotykamy się z takimi przejawami ludzkiej życzliwości.

JOD

ekran i widz

Zabłąkani

PO KILKU miesiącach repertuarowej posuchy, spowodowanej zalewem ekranów przez „Potop", mamy wreszcie możność obejrzenia paru równie interesujących co dzieło Hoffmana fimów. I znowu, jak na początku roku, jest to seria filmów ambitnych reżyserów amerykańskich z udziałem aktorów, których grą zdołaliśmy się już zachwycić i takich, których odkrywamy po raz pierwszy. Po „Narkomanach" „Francuskim łączniku", „Nocnym kowboju", „Absolwencie", „Klute" — znowu wkraczamy w sferę skomplikowanych problemów, sprzeczności i niepokojów, charakterystycznych dla współczesnych Stanów Zjednoczonych. Jedno może tylko różni te filmy od uprzednio wymienionych: przy równej ostrości spojrzenia — bardziej wnikliwa, analiza i ocena prezentowanych na ekranie życiowych postaw bohaterów.

„Pięć łatwych utworów", film według scenariusza i w reżyserii Boba Rafelsona, jest już niejako „klasykiem" amerykańskiej Nowej Fali. Powstał w 1970 r, wkrótce po tym, kiedy Dennis Hopper i Peter Fonda zrealizowali „Swobodnego jeźdźca" — opowieść o wyalienowanym ze swego środowiska adwokacie, który odnajduje poczucie wyzwolenia przyłączając się do grupy hippiesów i podróżując z nimi przez Stany Zjednoczone. Hopper i Fonda wskazali wówczas, w 1969 r, nowe horyzonty kinu amerykańskiemu.

Ale Rafelson, kontynuując linię nakreśloną przez Hoppera i Fondę, powierzając nawet główną rolę Jackowi Nicholsonowi, którego kreacja aktorska przyczyniła się m. in. do sukcesu „Swobodnego jeźdźca", każąc mu również przemierzać Stany Zjednoczone w pogoni za sensem istnienia, stawia pod znakiem zapytania wartość takiej postawy, jaką reprezentuje filmowy Robert Eroica Duppea zwany „Bobbym". Owe krytyczne spojrzenie Rafelsona nie dotyczy samego faktu buntu, ucieczki od nieakceptowanego świata, ale braku jakiejkolwiek idei, jakiegokolwiek programu pozytywnego u bohatera filmu.

Wrażliwość — tak, ale zarazem egoizm i pustka uczuciowa cechują „Bobby'ego", tego utalentowanego pianistę wywodzącego się z szacownej rodziny muzyków. Uciekając bezustannie od nienawistego mu świata, Robert Duppea ucieka właściwie od samego siebie, od odpowiedzialności życiowej, depcząc po drodze beztrosko uczucia życzliwych mu ludzi. Gniewność i buntowniczość „Bobby'ego" nabierają w tym aspekcie tylko żałosnego wyrazu.

Rafelson nie ogranicza się zresztą w krytyce tylko do postaci głównego bohatera. Znamienna w tym względzie jest w „Pięciu łatwych utworach" scena z dwiema hippieskami, które „Bobby" podwozi autostopem na Alaskę: ich niekończące się, w kółko powtarzane, nacechowane nienawiścią do świata oracje, połączone z naiwnym zachwytem nad krainą, do której jadą, przeradzają się niepostrzeżenie w nieopanowany bełkot. Jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że obydwie dziewczyny reprezentują spory odłam amerykańskiej młodzieży, wymowa filmu Rafelsona staje się tym głębsza.

Stowarzyszenie Krytyków Amerykańskich przyznało „Pięciu łatwym utworom" nagrodę za najlepszy film roku. W trzy lata później jury Festiwalu w Cannes uhonorowało nagrodą Grand Prix International inny amerykański film o ludziach błąkających się po terenie Stanów Zjednoczonych i... życiu: „Stracha na wróble" w reżyserii Jerry Schatzberga, twórcy doskonałych „Narkomanów". W filmie tym stanęli ponadto obok siebie dwaj znakomici aktorzy: pamiętny z „Francuskiego łącznika" Gene Hackman oraz Al Pacino.

Jest sporo wspólnego w „Pięciu łatwych utworach" i w „Strachu na wróble": „To, co szczególnie mnie w nich (bohaterach fimu) pociągało — powiedział w wywiadzie dla prasy Jerry Schatzberg — jest tym samym, co odnajduję w sobie, chociaż nie jestem z natury włóczęgą, człowiekiem błąkającym się w życiu: konieczność rezygnacji z gniewu, buntu — na rzecz dobroci, dobroduszności".

„Strach na wróble" wszedł właśnie na ekrany kin lubelskich.

md

Odpowiedzi redakcji

O. B. Warszawa. Napisać wiersz — taki postulat daje się wywnioskować jako zasadniczy czynnik pańskiej postawy. W ten sposób literatura nie jest rodzajem najgłębszego wyznania, ale zabawą, grą, niemal konwenansem. „I ja też tak potrafię" — to zdaje się Pan mówić swoimi wierszami. Nawet jeśli Pan przekonał, cóż z tego? Dowiódł Pan, że jest taki, jak inni, podczas gdy poeta powinien — na odwrót — chcieć się różnić od wszystkich, wszystkich piszących wiersze.

A. B. Lublin. Za dużo w tym kolokwializmów. Wprawdzie poezja niepomiernie zyskuje od języka mówionego, czego przykłady widzieliśmy i widzimy nieustannie, jednak w tych wierszach odczuwa się to jako maniere. Na siłę przybliżyć. Stąd to słownictwo — o nie, nie obsceniczne — pozornie urealniające wypowiedź liryczną, zaczerpnięte z mowy słyszanej na ulicy. Gdyby to było naturalne! Niestety, słychać niemal karzełka podpowiadającego autorowi: „uwierzyteślnij, unaturalnij, wyprostuj". Prostota tą drogą osiągana, to też poza. Księżniczka epoki sentymentalizmu przebrana za pasterkę.

C. J. Janów Lubelski. Poezja jest wyrazem przemyślanego stosunku do świata, ale kiedy intelekt dokonał swego, powinien zejść ze sceny i zostawić miejsce poetyckiemu instynktowi. Czytelnik nie może mieć wrażenia, że przy każdym słowie autor odwoływał się do swoich generalnych założeń twórczych. Piszący powinien reagować na zjawiska otaczającego go świata — na deszcz, na muzykę, na pragnienie wyjścia z samotności i na pragnienie samotności — w sposób naturalny, spontaniczny, poecie przyrodzony. Inaczej nie odbieram wiersza. Odbieram egzemplifikacje traktatu filozoficzno-literackiego napisanego na temat „Jaki według mnie powinien być wiersz".

Z. N. Stalowa Wola. Owszem, interesują te fragmenty doznań napisane językiem dość jeszcze naiwnym i nieporadnym. Wszelako w obecnym ich kształcie do druku się nie nadają, a jeśli chodzi o przyszłość zachodzi kwestia, czy z nabytkiem pewnych umiejętności techniczno-formalnych nie zniknie świeżość. Jeśli zostanie zachowana, wtedy będziemy mogli coś sobie powiedzieć. Dzisiaj jest za wcześnie na prognozy, a tym bardziej na obietnice.

T. G. Lublin. Nie w tej sprawie nie mogę odpowiedzieć. Podaje tylko, że okoliczności sprzyjające pisaniu, takie jak kontakt z książką, czasopismem, inteligentnym i zorientowanym literacko kolegą, są młodemu piszącemu bardzo przydatne. Ale czy znajdzie się on w zorganizowanej grupie literackiej, czy pozostanie outsiderem — zależy od rodzaju jego osobowości. Są tacy, którzy lepiej się czują ze sobą samym niż w gromadzie. Może Pan do nich należy? Wszelako dopóki nie mam tekstów, jest to zagadnienie przedwczesne, a już stanowczo nie moje.

S. M. Lublin. Tak, ale pański reportaż zmierza miejscami już nie do artykułu publicystycznego, ale wprost informacji. Reportaż ten rodzaj utworu pisarskiego, zrodził się z tendencji zachowania całego autentyku wydarzenia przy zastosowaniu ekspresywnych środków relacji. Pierwszy warunek pański tekst może spełnia. Natomiast jest najdalszy od drugiego. W ten sposób można nie osiągnąć żadnego wrażenia opisując katastrofę pasażerskiego samolotu w charakterze naocznego świadka. Przecież te postacie muszą żyć (bo żyła naprawdę), te wypadki muszą być życiowe (bo w życiu miały miejsce), całość musi „czytać się sama". Pan zrobił wszystko, by rzecz jak najbardziej oddalić. A ta stylistyka trzeciorzędnej literatury. Ta pretensjonalność nieodkrywczych zwrotów. Musi Pan jeszcze raz całość napisać od nowa. Nawet jeśli nie nastąpi dorażny efekt w postaci lepszego tekstu, sama czynność odbycia podobnej próby przyniesie autorowi korzyści autodydaktyczne.

W. P. Biała Podlaska. Nie chcę Pani dodawać otuchy wbrew jej własnemu samopoczuciu, ale przypuszczam, że ten brak wiary we własne siły (stary ja wróbel) to taki sobie rodzaj może nawet podświadomej literackiej kokieterii. Przecież teksty tego nie usprawiedliwiają. No, z drukiem należałoby jeszcze nieco poczekać, ale nie widzę, by sytuacja była beznadziejna. A stawianie sobie wysokich wymagań? Cóż, temu tylko przyklasnąć.

O. T. Warszawa. A jednak brakuje mi w tym „człowieka". Proszę zrozumieć: nawoływanie o „człowieka", nie jest nawoływaniem o „bebechy" mające zatriumfować nad intelektualnymi potencjami współczesnej poezji. Ale poezja ma chwytać życie, ruch, stawanie się, a odbitka konstrukcji nieruchomych, nie jednostkowych obrysowanych konturem zrównujących i uschematyczniających pojęć logicznych nie wnosi koniecznego w poezji pierwiastka rozrostu. Słowo jest dopiero wtedy poetyckie, kiedy znaczy więcej niż znaczy. Kiedy już w momencie jego percepcji okazuje się wzrost jego znaczenia. A jest to możliwe w drodze relacji tych właśnie sensów, jakie światu nadaje człowiek.

W. R. Radom. Jest pewien rodzaj stylistyki, pozornie dzisiejszy, pozornie współczesny, ale przy bliższym zbadaniu nie zawierający niczego poza powtórzeniem. Powtórzeniem tonów wygranych. Gdyby chociaż ta zamaskowana wczorajszość stylu zawierała spostrzeżenia ciekawe. Niestety nie zawiera i to da się powiedzieć o pańskim opowiadaniu. Jest to dobrze odkurzony kopertatych. Ale czy literatura polega na odkurzaniu?

Szyfrogram literacki (nr 25)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment wiersza polskiego poety, którego imię i nazwisko dadzą pierwsze litery początkowych 9 wyrazów pomocniczych. Pojedyńcze czarne kratki oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec wiersza.

WYRAZY POMOCNICZE

7, 1, 65, 20, 21, 24 — kąt między północą a danym kierunkiem.
19, 4, 10, 89, 81, 39 — wschodnia włócznia z krótkim drzewcem.
25, 35, 76, 3, 21, 29, 37, 42 — bada gwiazdy.
14, 46, 54, 40, 73, 92, 9 — filozof, myśliciel.
30, 47, 63, 16, 74 — ulica i numer domu.
23, 60, 73, 26, 56 — kruchy materiał.
15, 41, 22, 49, 8, 11, 18 — dziennik toruński.
43, 5, 79, 28 — człowiek śniegu.
36, 32, 64, 13, 33 — krzak.
91, 34, 82 — aktor pantomimy.
78, 27, 2 — zdobycz.
58, 68, 87, 93 — surowiec wtórny dla hut.
66, 50 — megawat.
44, 59, 51, 71, 80, 67, 83 — opiekuje się artystami.
84, 61, 86, 6 — kobieta demoniczna, uwodzicielka.
17, 12, 69, 55, 38, 62, 52, — trochę dalej niż kilometr.
88, 48, 72, 85, 70 — borowik.
45, 57, 90, 53, 77 — zmarł jej mąż.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z n-ru 23 był fragment wiersza Władysława Orkana pt. „Łąki i kwiaty moje":

1	■	2	3	4	5	6	7	8	9	10	■	11	12
13	14	15	16	■	17	18	19	20	21	■	22	23	24
25	26	27	■	■	28	■	29	30	■	31	32	33	34
35	36	37	■	38	39	40	41	42	43	44	■	■	45
46	47	48	49	50	51	52	■	53	■	54	55	56	57
58	59	■	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	■
■	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82
■	83	84	85	86	■	87	88	89	90	91	92	93	■

„Przymrozem spalił czas kwiaty moje.
Przymrozem spalił młode pąki,
Popiołem z kwiatów mych powiał na łąki —
Łąki i kwiaty moje".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 23 cztery bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali:
Władysław Panczyj, Wrocław, ul. Bol. Chrobrego 38/6; Marian Chudzicki, Urzędów, ul. Zakościelna 80; Wanda Fal, Lublin, ul. Leonarda 7/90; Adam Kosela, Lublin, ul. Leonarda 13/39.

listy do kamery

FILHARMONIA W SZKOLE

Chciałabym zwrócić uwagę czytelników „Kameny" na dobrą robotę, jaką od dawna i bez natrętnej reklamy własnego działania wykonuje Filharmonia Lubelska im. Wieniawskiego. Mam na uwadze koncerty dla młodzieży szkół podstawowych miasta. Odbywają się one raz na miesiąc w budynku szkolnym, najczęściej w salach gimnastycznych, co zrozumiałe: sama orkiestra, w pełnym składzie symfonicznym, zajmuje kilkadziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Zespół gra utwory rozrywkowe, tzw. poważne, na koniec „podaje" młodocianym słuchaczom wiecznotrwałe „Wlazł kotek". Poszczególne utwory czy części koncertu poprzedza komentarz — niestety, chyba mało czytelny dla dzieci z klas najmłodszych. W sumie są to przecież bardzo pożyteczne imprezy. W każdej z nich uczestniczy np. 800 uczniów Szkoły Podstawowej nr 6. Dyryguje zazwyczaj p. Komorowski, czasami — dyr. Natanek.

Maria Kalicka
Lublin

STUDENT CZY KOSZYKARZ?

Niedawno „Kurier Lubelski" wydrukował zwierzenie pewnego młodego koszykarza, który rozżalony faktem nieprzyjęcia na studia geograficzne UMCS, wyemigrował z Lublina do Wrocławia, zasilając tamtejszą drużynę ligową oraz... uczelnię. Sportowiec daje do zrozumienia, że jego śladem pójdzie jeszcze kilku jego kolegów. Chodzi o to, że Lublin nie potrafi stworzyć dobrych warunków życiowych dla wyróżniających się sportowców. Gazeta zdaje się popierać stanowisko młodziana. Osobiście wydaje mi się, że UMCS postąpił słusznie, dostrzegając w młodym człowieku nie koszykarza, lecz jednego z kandydatów na studia. Ostatecznie geografowi bardziej przydatna jest głowa, niż dwa metry wzrostu i umiejętność włożenia do kosza okrągłego pojemnika z powietrzem. Kiedyś inna gazeta lubelska rozdzierała szaty z powodu ucieczki z Lublina słynnego Kozaka, bodaj też koszykarza. Załatwiliśmy ci przyjęcie na studia, choć nie miałeś, niewdzięczniku, matury, a ty tak nam się odwdzięczasz?! — grzmiało pismo w imieniu opinii publicznej Lublina.

A przecież takie stanowisko sygnalizuje bardzo smutne sprawy, akceptowanie pozorów, zgodę na zasadę „cel uświęca środki".

Franciszek Gralak
Lublin

PRAWDZIWA MASKA

Na frontowej elewacji teatru dramatycznego w Lublinie widnieje od kilku miesięcy stylizowana maska — symbol rzeczywistości teatralnej, wykuty w płycie piaskowca. I otóż jest to maska absolutnie nieczytelna, na powierzchni sporego prostokąta można doszukać się zarysów lądów i oceanów, ale na pewno nie tego, co chciano przedstawić. Zastosowane tworzywo nie pozwala na uzyskanie kontrastowego obrazu, a tylko taki gwarantuje czytelność. Ostatecznie mała to sprawa, aczkolwiek nasuwa się podejrzenie, że autor próbował dostosować się do nowoczesnych prądów w sztuce, wykonując jeszcze jedną rzecz niezrozumiałą.

Eugeniusz Słoma
Puławy

SPARTAŃSKIE LECZENIE

Przy końcu września dostałem skierowanie do sanatorium Związku Nauczycielstwa Polskiego w Ciechocinku. Cierpię na reumatyzm, w tym słynnym uzdrowisku nigdy dotąd nie byłem — łatwo zatem wyobrazić sobie moją radość z faktu otrzymania skierowania. Niestety, po przyjeździe na miejsce szybko straciłem złudzenia. W pokojach zaprojektowanych na dwie osoby mieszkało nas trzech. Mieliśmy wrażenie, że nocujemy w klatce. Nie polepszało samopoczucia podłe wyżywienie: mimo wystarczająco wysokiej diety dziennej, otrzymywaliśmy posiłki wyjątkowo skromne i niesmaczne. Najgorsze przecież, że w budynku sanatoryjnym nie było urządzeń leczniczych, do łazienek z kąpielami borowinowymi czy do inhalatorium chadzaliśmy ok. 700 metrów. Po zabiegach, rozgrzani, stygnęliśmy po kilkanaście minut w poczekalni, lecz niektórych z nas nie chroniło to przed przeziębieniem... Jeszcze raz mogłem przekonać się, że sanatoria ZNP należą do gorszych w kraju.

Z. J.
Chełm Lub.
(nazwisko i adres znane redakcji)

„KTO WŁAŚCIWIE RYJE?"

Zarząd i członkowie Chóru Akademickiego UMCS zwracają się z uprzejmą prośbą o zamieszczenie naszego listu w dwutygodniku „Kamena".

Do tej pory byliśmy świadkami polemiki toczącej się na łamach prasy i jesteśmy zdumieni różnorodnością wypowiedzi i bezpodstawnością niektórych z nich.

Bezsporną sprawą jest zaangażowanie i praca kierownika artystycznego Chóru w osobie mgr Jadwigi Czerwińskiej, Zarządu Chóru i wszystkich chórzystów.

Zastanawia nas swoista interpretacja faktów dotyczących naszego zespołu, jaką przedstawił p. Marek Kusiba w artykule zamieszczonym w „Studencie" z dn. 1—14 sierpnia 1974 r., notabene nie sprawdzając ich z jedynym miarodajnym źródłem, jakim jest Zarząd Chóru.

Wyjątkowym ewenementem w tej polemice był artykuł red. M. Kosa („Kamena" nr 22, 3.11.1974 r.), oparty na informacji uzyskanej w bezpośredniej rozmowie z Zarządem Chóru, ukazujący rzeczywistą sytuację panującą w Chórze.

Wypadałoby nam życzyć sobie, by wszyscy, którzy w przyszłości będą chcieli pisać na nasz temat, podawali informacje sprawdzone, co pozwoliłoby zapobiec tworzeniu się nieprzyjemnej atmosfery wokół naszego zespołu.

Z poważaniem
Zarząd Chóru Akademickiego UMCS
(podpisy)

OD REDAKCJI: W tej sprawie otrzymaliśmy również list od red. M. Kosa, polemizującego z S. Dąbkiem i M. Kusibą. Wydaje się nam, że wypowiedź Zarządu Chóru Akademickiego UMCS, najbardziej zainteresowanego, zamyka sprawę.

CISZA W RUCHU?

Jeszcze dwa lata temu sprawy regionalnych towarzystw społeczno-kulturalnych dość często były poruszane na łamach prasy lubelskiej, co tak czy inaczej świadczyło o znaczeniu, a może nawet o ruchliwości tych organizacji. Obecnie panuje wokół nich cisza. Czy to znaczy, że zaprzestały działalności? A może, opisywane tyle lat, straciły atrakcyjność w oczach dziennikarzy, przestały być „tematem"? Nie wiem, co o tym sądzić, prosiłbym jednak o publicystyczne wyjaśnienie tej kwestii. Własne obserwacje prowadzą do wniosku, że nie jest w tej materii dobrze, ruch społeczno-kulturalny stracił na dynamice, zasłużeni działacze nie potrafią jakoś przyciągnąć młodzieży, innymi słowy — nie potrafią uruchomić takich form pracy, które podziałałyby na młodą wyobraźnię. Stara gwardia, rekrutująca się głównie ze środowisk nauczycielskich, wykrusza się, a następców nie widać.

Antoni Chedźko
Krasnystaw

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch", Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 00-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2748. 29.XI.74. E-4.

Numer łamał Wiktor Muda, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurdy

Nr indeksu 36-400

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

Narzeczeństwo

JEDNA z amerykańskich agencji doniosła ostatnio, że w Jugosławii dyskutuje się nad projektem ustawy nakładającej obowiązek jednomiesięcznego okresu narzeczeństwa, w czasie którego para ulubieńców mieszkałaby razem.

Jak wynika ze statystyk, wśród małżeństw pragnących się rozwieść 43 proc. stanowią pary poniżej 24 lat. Niektóre spośród nich zawarły związek małżeński po... trzy-siedmiodniowej znajomości. Nowa ustawa ma stanowić tamę przeciwko zbyt pochopnym decyzjom.

Mój przyjaciel, Józio, kiedy przekazałem mu tę wiadomość, westchnął tylko i powiedział: — Dlaczego nie urodziłem się Jugosłowianinem? Pomyśl, jakby to było cudownie! Mam piękny pokoik z kuchnią (Józio — muszę tu nadmienić — mimo swej czterdziestki ciągle jest kawalerem). Pewnego dnia wprowadzam doń narzeczoną. Wszystko odbywa się w majestacie prawa. Niestety, już po dwóch tygodniach okazuje się, że to była zwykła omyłka życiowa. Mówię więc kulturalnie „adieu" i szukam dalej. Trzy dni wytchnienia i mój dom znowu udziela gościny kolejnej narzeczonej. Tragedia: narzeczona chrapie, a ja chrapania nie cierpię, znów muszę się rozstać. Następna sympatia, chociaż na pierwszy rzut oka sprawiła na mnie oszałamiające wrażenie, jest zbyt zimna przy bliższym współżyciu. Wytrzymuję z nią tylko przez tydzień. I teraz do domu wprowadzam (wszystko zgodnie z prawem) biurową koleżankę. Znam taką jedną. Po dwudziestu nocach przekonuję się, że nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Wymieniliśmy poglądy na temat szefa, wiceszefa, kierownika działu, wszystko wiemy o naszych koleżankach i kolegach. Dochodzi do tego, że w biurze zaczynam unikać mej narzeczonej. A więc kolejne fiasko...

— Zaraz, zaraz — przerwałem — zapomniałeś dodać, że każda narzeczona kosztowała ciebie (prezenty, kwiaty, koniak) po kilka tysięcy złotych. Oczywiście musiałeś zaciągnąć pożyczki. Teraz wisisz w kasie na 15 tysięcy złotych...

— Pożyczki? — zaśmiał się mój przyjaciel. — W jakich ty czasach żyjesz? Pełne równouprawnienie! A poza tym obiady jadałem przecież u rodziców mych kolejnych narzeczonych. Jeśli oficjalnie byliśmy narzeczeństwem, jeśli musieliśmy mieszkać razem, trudno oczekiwać, że musiałbym ponosić dodatkowe koszty. Zresztą wszystkie moje narzeczone pracowały, nawet nieźle zarabiały; ta, która chrapała, miała pensję dwukrotnie wyższą niż moja. Co ty frajera znalazłeś?

Skapitulowałem. A Józio ciągnął dalej:

— Przypuśćmy, że nie byłbym w wolnym stanie, ale ponieważ nie mogę żyć samotnie, czekałbym z rozwodem do chwili znalezienia sobie nowej towarzyszki życia. Oczywiście szukałbym pań z mieszkaniem. Załóżmy, że mam taką na widoku. Wówczas mówię do mojej ślubnej: kochana, na miesiąc wyprowadzam się od ciebie do pani X. Jeśli okaże się, że pani X odpowiada mi, wnoszę o rozwód i zakładam nowe stadło.

— Hola, hola — przerwałem — projekt ustawy o takim czymś już zupełnie nie wspomina.

— Właśnie, to jest poważna luka! A w ogóle wydaje mi się, że jednomiesięczny okres narzeczeństwa ze wspólnym łożem i wspólnym dachem nad głową nie może w pełni gwarantować, iż człowiek nie popełni pomyłki. Widzisz, ja bez żadnej ustawy żyję z Zosią na kocią łapę przez trzy lata i nie mogę się zdecydować. A gdybym po miesiącu obowiązkowego narzeczeństwa był zmuszony biec z nią do urzędu stanu cywilnego, to...

— To co?

— To zapewne dzisiaj byłbym człowiekiem rozwiedzionym. Rozmyśliłem się, nie chcę już być Jugosłowianinem. Trzy razy popróbujesz, a za czwartym wpadniesz na amen. A po roku, jeśli zechcę się rozwieść, wysoki sąd mi powie: — Jak to? Daliśmy ci szansę, wiedziały nie tylko gały, co brały... I człowiekowi będzie po prostu głupio.

— Bo w Polsce zawsze możesz powiedzieć przy rozwodzie, że kupowałeś kota w worku!

— Oczywiście. I wysoki sąd będzie musiał udawać, że wierzy, iż nagle wyszła niezgodność seksualna!

MAJ

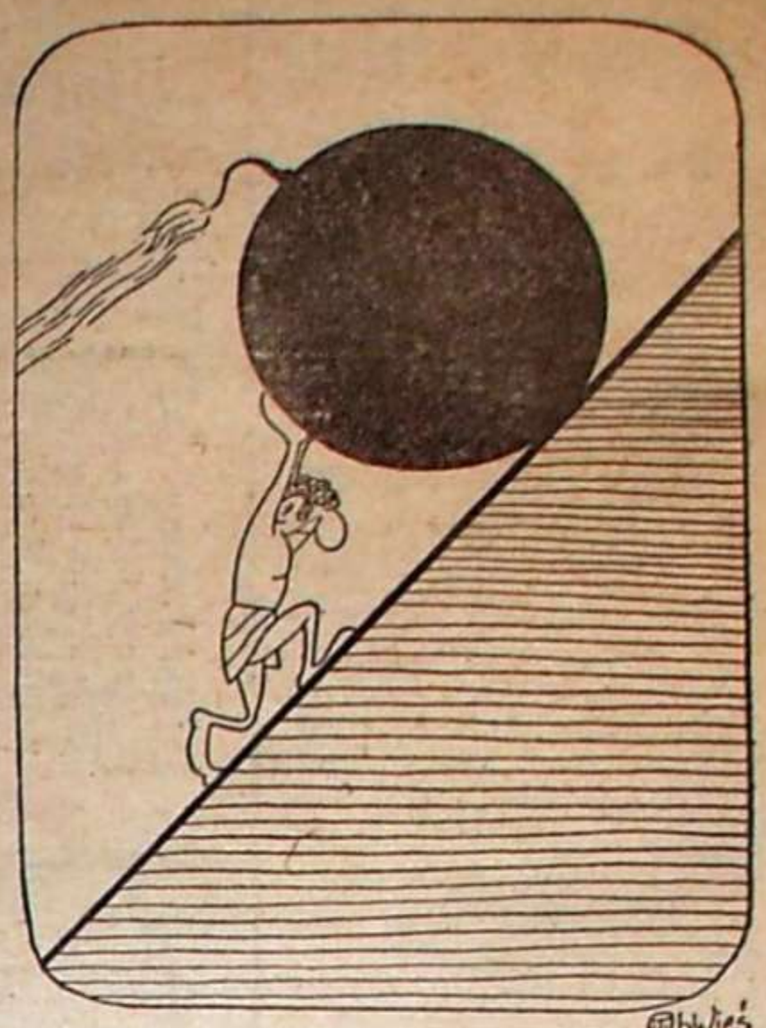

Rys. W. Fuglewicz

minuta myślenia

Piszcie jeno

BOŻE Narodzenie. Strzela bengalski ogień, rozsnuwa się złota poświata świec, łańcuchy z sieczki przetykanej cekinami łukowato opinają świerkowy stożek. Albo plastikowy stelaż z wmontowanymi gałązkami manekin Świętego Mikołaja, zanadto mechanicznie i seryjnie spreparowane niebieskie podfruwajki już nawet nie cepeliowskiego pochodzenia. Albo, albo. Jak kto woli. W każdym jednak razie jest atmosfera biblijnego lenistwa obyczajowo i liturgicznie przypisana bożenarodzeniowemu świętu, z lenistwem obżarstwo, z obżarstwem łagodność, z łagodnością wyrozumiałość. Precz z polemicznym tonem. Precz?

*

Wprawdzie pisałem już o niedorzeczności wynikłej wokół wyprawy himalajskiej, ale nie wiedziałem jeszcze jakie ta niedorzeczność przybierze rozmiary. Okazuje się, że również himalajskie. Że potrzeba będzie specjalnej ekipy, by sforsowała ten całkiem imponujący szczyt-dziw jaki nieoczekiwanie wyrósł na polskim gruncie geograficznym. Bo pomyślmy. Wyprawa poszła, zginęło dwóch ludzi. Był komunikat, były żałobne noty. Potrzebny jeszcze reportaż? Powtarzam: reportaż? Zmarłych się nie wskrzesi, a rewelacje dotyczące meteorologii, stanu kasy i wyposażenia to coś jakby: „Powiadasz, że ciotka zmarła w szpitalu, ale nic mi nie wiadomo w jakiego koloru piżamie".

Ale niech. Tym bardziej, że autor zapewniał o tysiącu stron notatek, stercie taśm magnetofonowych, tygodniach przeprowadzonych rozmów. Sądziłem, że nie doceniłem tu pewnych momentów, skoro potrzebne się okazały aż tak wnikliwe i absorbujące penetracje. Tymczasem co? Benedyktyńska pracowitość obraca się przeciw autorowi. Bo cóż mi to za tysiąc stron notatek, skoro w efekcie dają elaborat, którego prawie każde zdanie nie tylko wyrzucić do kosza! Przecież to stwierdzają — kto? — sami uczestnicy wyprawy. W dodatku jedyni, a przynajmniej najważniejsi z tych, którzy informacji na owe tysiąc stron udzielili. Więc jak mam przyjąć kilkanaście odcinków „reportażu"? Kilkanaście stron ogólnokrajowego kulturalnego tygodnika. Kilkanaście stron — przy znów odczuwanych trudnościach z zaopatrzeniem w papier.

A redakcja? Gdyby sprostowanie uczestników wyprawy ukazało się w innym piśmie, można byłoby jeszcze „Tygodnikowi Kulturalnemu" znajdować okoliczności łagodzące. Że przed wydrukowaniem przebadał sprawę i swego stanowiska mimo doświadczenia świadków nie zmienia. A przynajmniej — że dotrzymuje solidarności autorowi. Swemu autorowi. Tymczasem to, co się stało, wcale nie jest świadectwem szerokości spojrzenia, ani praktyki audiatur et altera pars chwalebnej i nieodzownej w wielu wypadkach, ale w tym spóźnionej. Bo owe audiatur należało przeprowadzić przed wydrukowaniem. „Tygodniku Kulturalny", zamieściłeś jedno i drugie. Jaki obraz himalajskiej wyprawy mam sobie wyrobić na podstawie twoich kilkunastu kolumn druku tej sprawie poświęconych?

*

Nie wiem również jaka idea przyświecała redakcji „Literatury", kiedy zamieściła (nr 46) przedruk z „Observera" na temat walki Mohammeda Ali z George Foremanem o mistrzostwo świata w boksie. Owszem „problematyka sportu gości w pismach kulturalnych", ale wątpię, czy do „problematyki sportu" zaliczać się może taka enuncjacja ciotki Alego: „On jest alfą i omegą". Zadziwiające, jak łatwo to pismo o myślącym zresztą tytule podchwytuje różne hopsztosy rodem z najlepszej tradycji brukowców lat jeszcze dwudziestych.

*

Pozazdrościła „Literaturze" „Kultura". Nie byłem w USA i Anglii, nie wiem, co jest tam na liście bestselerów i czy taka lista rzeczywiście istnieje, ale czytałem te zamieszczone dwa odcinki „Bogów wojny" niejakiego pana Fryderyka Forsytha i wcale nie jestem przekonany, że nie potrafiłby ich napisać ktoś, kto uchodzi za trzeciorzędnego pisarza w poczciwym kraju nad Wisłą. Poza tym osobliwy jest ten wyróżnik oryginalności, ten wynalazek „nowego rodzaju literackiego, który by można nazwać literaturą «fałszywego faktu»". Bo, jak wiadomo, Tomasz Judym naprawdę wpadł do piaszczystego dołu, Lucjan Sorel naprawdę strzelił do pani de Renal, a pewien hidalgo z la Manczy rzeczywiście odznaczał się skłonnością do przeprowadzania szarż na wiatraki. Ale „Literatura" miała już swojego pana Bacha z jego rewelacyjną „Mewą", z panią Morgan i jej zdecydowanymi cenzurkami dla paleontologów i antropologów, więc „Kultura" nie mogła zostać w tyle.

*

Czytam. Czytam. Przy świetle łagodnym, bo świeczek choinkowych. Raz do roku odetchnąć od elektryczności. W tych warunkach zniósłbym nawet większą porcję lektury.

Bracia, piszcie jeno!

Ijon

Bogusław Wieczorek

AFORYZMY

Sumienie miał czyste, więc mu zmyli głowę.

* * *

Na nic się nie zda stawanie okoniem w sieci.

* * *

Bajki częściej opowiadamy dorosłym niż dzieciom.

Jan Gross

NA GRZYBOBRANIU

Czasem się wytwarza sytuacja taka,
że purchawka przy gąsce udaje kozaka.

Janusz Roś

WZÓR

Niechaj Kasia, dziewczęta — wzór dla was stanowi:
Nawet w „fiacie" uległa tylko wypadkowi.

O TŁUMACZACH

Jakim u nas tłumaczom najlepiej się wiedzie?
Tym, którzy tłumaczą, co autor chciał powiedzieć.

MARTINA WSZYTKOWA

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Mariusz został w domu tylko z Ireną, która zaproponowała mu, aby zatelefonował po Basię. Akcja „Smaku" toczy się dalej. Powieść (7) drukujemy w autonomicznej rubryce „Poste Restante".

(36)

Mariusz przekręcił tarczę telefoniczną.

— Tak, słucham — usłyszał głos Barbary.

— Basiu, to ja, Mariusz. Co robisz?

— Pchły łapię. A bo co?

— Mam dla ciebie pewną propozycję...

— No, no... Ciekawie zaczyna się dzisiejszy wieczór.

— Wpadnij do mnie na chwilę.

— Do ciebie? A co to znów nowego? Dlaczego dopiero teraz mi proponujesz?

— Widzisz, stęskniłem się za tobą. Siedzę z córką mej gospodyni, wiesz... tą, o której ci wspominałem.

— I nudzisz się śmiertelnie?

— Powiedzmy. Sądzę, że będzie dobrze, jeśli się poznacie.

— Już kiedyś poznałam Zuzannę. Mniejsza zresztą z tym. Ale, jak ci tak zależy, to wpadnę. Podaj dokładny adres.

— Weź taksówkę, to ci zwrócę...

— Dobrze, dobrze więc... ulica... tak, tak zapisałam... teraz numer domu, mieszkania... W porządku. Zjawiam się za pół godziny.

Mariusz odłożył słuchawkę.

— Gratuluję, gratuluję! — Irena stała obok uśmiechnięta. — Widzę, że wychowałeś sobie dziewczynę. A co będzie, jeśli jej powiem, że usiłowałeś mnie pocałować? To tak wygląda twoja wierność?

— Daj spokój, przestań żartować.

— Bo ty też żartowałeś pewnie? Oj, i jak tu wierzyć mężczyznom? Dobrze, że przynajmniej ja nigdy nie miałam i nie mam żadnych co do tego złudzeń. Ale, jak ma przyjść twoja wielbicielka to musimy trochę posprzątać. I czy nie sądzisz, że przydałaby się nowa butelka wina?

— Oczywiście. Zaraz skoczę do „Delikatesów".

— Człowieku, kiedy ty się nauczysz oszczędzania? Zadzwoń jeszcze raz do Basi, będzie przejeżdżać taksówką przez miasto, może ciebie wyręczyć. Korona jej z głowy nie spadnie, a pieniądze przecież zwrócisz, chociaż, kto tu właściwie powinien zwracać?

Mariusz zatelefonował ponownie, Basia przyjęła jego propozycję jako rzecz zupełnie normalną.

* * *

— Jestem. — Basia stała w drzwiach z rozwianymi przez wiatr włosami. Wyglądała szczególnie urocza.

— Poznajcie się — Mariusz wyciągnął rękę w kierunku Ireny. — To jest...

— Wszystko, wszystko wiem... Barbara...

— Irena. Jestem nieco starsza, więc zaproponuję, abyśmy sobie mówiły po imieniu.

— W porządku, ja też nie cierpię paniowania. Zresztą nie mogłabym nawet mówić inaczej. „Pani" nie przeszłoby mi przez gardło. Ale, ale, może najpierw obejrzę pokój Mariusza... Ciasno tutaj, chociaż właściwie czego ci więcej potrzeba. Przywiozłam dwie butelki rizlinga. Komu mam je wręczyć?

— Może ja się nimi zaopiekuję. I proszę was do tamtego pokoju.

— Sami siedzicie? — Basia ciekawie rozglądała się po mieszkaniu.

— Tak. Mama musiała niespodziewanie wyjechać.

— I co? Nudzicie się we dwójkę? Jak znam Mariusza, to on lubi być sam na sam z dziewczyną.

— Jaka tam ze mnie dziewczyna! — Irena pokazała w uśmiechu piękne zęby. — Gospodyni nie może być dziewczyną. No nie?

— Ale córka gospodyni? Bo pani jest przecież córką. Mariusz mnie chyba nie oszukał.

— Oczywiście, że tak. Ale proszę, siadajcie. Zaraz przyrządzę kawę.

Wyszła do kuchni i zamknęła drzwi od korytarza.

— Co to wszystko znaczy? — Basia zniżyła głos do szeptu.

— A co ma znaczyć? Po prostu chciałem cię zobaczyć.

— No to przytul się do mnie i mocno pocałuj. Ty na pewno coś knujesz. A wiesz, ta Irena całkiem, całkiem... Słowo daję, że będę o nią zazdrosna.

— Nie jest taka znów piękna. Nogi ma za grube. I popatrz na jej ręce. Widziałaś takie krótkie palce?

— Co się dzieje? Mój Mariusz stał się prawdziwym znawcą kobiet. Nigdy bym cię o to nie posądzała. Ale nie przesadzaj, wcale nie ma takich złych nóg. Widziałam gorsze. Choćby tej całej Zuzanny.

— Basiu, przestań, proszę ciebie. Znowu zaczynasz?

— Objął ją gwałtownie, ale jeszcze gwałtowniej odskoczył, kiedy usłyszał że Irena otwiera drzwi z kuchni na korytarz.

— Czego się tak boisz? — W głosie Basi wyczuł irytację.

(dcn)